



CR 6

WIDNOK

Wojewódzka i Miejska
Biblioteka Publiczna w Rzeszowie
1 II Wid/1968



TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

Plebiscyt wśród uczonych DZIESIĄTKA POLSKICH SKARBÓW

nej Europie, jedno z najwybitniejszych dzieł późnogotyckiej rzeźby na świecie.

W ramy tematu religijnego wprowadził artysta szereg elementów wziętych z bezpośredniego otoczenia. W twarzach brodatych apostołów dopatrzeć się możemy rysów ówczesnych mieszczan krakowskich — duchownych i humanistów; wśród oprawców Chrystusa — rysów włóczęgów i złodziei. Stroje żołnierzy, służby, tłumy w scenach zbiorowych — to ubiory, jakie można było zobaczyć na ulicach średniowiecznego Krakowa. Ołtarz stał się dla nas przez to pięknym, wizualnym przekazem o życiu krakowskich mieszczan w końcu XV wieku.

PRZED BURZĄ

Dzieło Rembrandta — malarza uważanego za najwybitniejszego malarza wszechczasów — jest wątpliwa czołową pozycją malarstwa europejskiego w zbiorach polskich. Wartość obrazu jest tym większa, że autentyczność jego nie

nich Arrasy Jagiellońskie i „Szczerbiec” — dowiedziała się przypadkowo, że w Bordeaux stoi polski statek, „Chorzów”. Kapitan „Chorzowa” oświadczył, że będzie płynął poza konwojem, bo to prędej, choć bardziej ryzykowne. Załadunek skrzyń odbywał się bez przerwy, „Szczerbiec” zaś przytwierdzono do deski, przywiązując doń zwyczajem marynarskim butelkę z napisem objaśniającym. Nagle pojawił się samolot. Dwie bomby padły tuż koło statku, na pokład chlusnęła fontanna wody. Trzecia posłała na dno statek francuski. „Chorzów” pospiesznie odpłynął. Opiekunowie arrasów prawie nie odchodził od swoich skrzyń. Nakryte brezentem były miejscem do spania, zastępowały fotele i służyły jako stolik... do brydża. Obok leżał zapakowany „Szczerbiec”.

— Miecz mamy, ale króla w karcie nie widzę — zauważył jeden z konwojentów, znany pisarz i miłośnik brydża.

Wojenny szlak arrasów i ich powrót do Polski są wydarzeniami, które jeszcze nie zatężyły się w pamięci. Wiszą dziś na Wawelu zgodnie z ostatnią wolą ich kolekcjonera, króla Zygmunta Augusta „ku pospolitej potrzebie, nie chuci inszej, i ku ozdobie potężnej i potrzebnej, a uczciwej...”

LWY, PTAKI, WĘŻY

Do dziś zachowało się tylko kilka tego typu zabytków na świecie. Wśród nich Drzwi Gnieźnieńskie zajmują czołowe miejsce. Powstały 800 lat temu, około roku 1170, będąc dziełem wybitnych artystów przybyłych do Polski z północno-wschodniej Francji. Być może odkryty niedawno napis PETRUS LUTINUS to podpis jednego z twórców drzwi.

Dla nas, ludzi XX wieku, drzwi rzadko kojarzą się z zabytkiem, a tym bardziej z wybitnym dziełem sztuki. W czasach średniowiecznych, kiedy życiu człowieka towarzyszyła atmosfera religijnego u-niesienia, celem sztuki było przede wszystkim stwarzanie atmosfery lęku i oszołomienia wspaniałością i tajemniczością spraw ponadziemskich. Poszczególne sceny otoczone są więc dekoracyjnym pasem, złożonym ze splecionych łodyg winorośli, w które wkomponowane są postaci lwów, ptaków, węży i fantastycznych stworów powstałych w wyobraźni artysty. W nas oczywiście nie budzą lęku ani fascynacji treścią, wywołują natomiast zachwyt swą nieprzeciętną wartością artystyczną. Są dokumentem zdarzeń, jakie miały miejsce w zaraniu państwa polskiego.

POCHÓD WARSZAWY

W ciągu trzynastu lat stworzył Canaletto serię widoków Warszawy i jej okolic, złożoną z 24 obrazów. Seria malowana była na zamówienie króla Stanisława Augusta Poniatowskiego i zdobiła jedną z sal Zamku Królewskiego w Warszawie, tzw. Salę Canaletta.

Dalszy los obrazów podobny był do losu innych wybitnych polskich dzieł sztuki. Wywiezione po powstaniu listopadowym do Petersburga, wróciły po odzyskaniu przez Polskę niepodległości, a w tragicznych dniach września 1939 roku znowu opuściły płonący Zamek. Przechowane w początkach wojny w podziemiach warszawskiego Muzeum Narodowego, zrabowane zostały później przez hitlerowców. Wszystkie szczęśliwie wróciły do Muzeum Narodowego w Warszawie.

Po wojnie seria widoków Warszawy przeżyła jeszcze jedną wielką przygodę. Dokumentarnie wierne płótna posłużyły jako wzór do rekonstrukcji obiektów i dzielnic zabytkowych Warszawy. 200 lat po śmierci Belotta, dzieła jego spełniły ważną funkcję kulturotwórczą w życiu narodu.

W chwili obecnej śmiało możemy mówić o triumfalnym pochodzie dzieł Bernarda Belotta. Gorące przyjęcia jego twórczości w wielkich centrach kulturalnych świata, jak Londyn, Drezno, Wenecja, Paryż, Rzym, Wiedeń, Chicago, sta-

wiają artystę w rzędzie wybitnych malarzy europejskich.

DRUGI ZAWÓD NACZELNIKA WYDZIAŁU HUT

Największy malarz polski specjalizował się w zakresie górnictwa i hutnictwa. Był naczelnikiem Wydziału Hut przy Rządzie Królestwa Polskiego, w okresie powstania listopadowego odpowiedzialnym za produkcję broni.

W wieku lat trzydziestu kilku Piotr Michałowski wyjechał do Paryża, by podjąć tam systematyczne studia malarskie.

Sceny batalistyczne — różnego rodzaju pochody, potyczki, manewry i natarcia, kirasjerzy, szaszerzy i utani. Napoleon na polu bitwy i lustrujący pułki — to tematyka odpowiadająca temperamentowi i ideowej postawie artysty. Doprowadza ona malarza do tematu-legendy, do słynnej szarży ułanów polskich w wąwozie Somosierry. Dziesiątki szkiców ówkowych i kilka dużych kompozycji olejnych, poświęconych heroicznemu czynowi polskich żołnierzy, stanowią szczytowym osiągnięciem twórczości Michałowskiego i najwspanialszymi obrazami malarstwa polskiego doby romantyzmu.

Obrazy Piotra Michałowskiego znaleźć można we wszystkich większych muzeach polskich. Miarą ogólnego uznania Piotra Michałowskiego niech będzie fakt, że jeden z jego obrazów znajduje się również w najznakomitszej galerii świata — w paryskim Luwrze.

PRZEŚWIETLENIE OBRAZU

Na odwrocie skrzydeł namalował Memling kłęzące postacie fundatorów tryptyku. Nie pisane im jednak było cieszyć się wspaniałym dziełem sztuki. Już podczas przewozu obrazu do Londynu, na statek wiozący obraz napadł słynny pirat gdański, Piotr Benecke. Zdobył, a następnie wprowadził statek wraz z drocogennym ładunkiem. Dbając o dobre stosunki ze swym rodzinnym miastem, ofiarował on dzieło Memlinga na ołtarz bractwa św. Jerzego w kościele Najświętszej Marii Panny w Gdańsku.

Obraz budził zawsze żywe zainteresowanie, graniczące nieraz z nieodpartą chęcią posiadania tego wspaniałego dzieła. Próby zabrania tryptyku do Rosji podejmował Piotr Wielki. Później wojska napoleońskie wywiozły obraz z Gdańska i przewiozły do Paryża. Tam włączono go do zbiorów Muzeum Napoleona, złożonych ze zrabowanych z całej Europy dzieł sztuki.

Po Kongresie Wiedeńskim tryptyk — po licznych perypetiach — wrócił do gdańskiego kościoła. Trwał tu do chwili wielkiej grabieży dzieł sztuki, jaka miała miejsce w czasie ostatniej wojny. Ewakuowany przez hitlerowców w głąb Niemiec, odnaleziony został i zabezpieczony przez władze radzieckie. Do Polski wrócił na jesieni 1956 roku i wystawiony został w Muzeum Pomorskim w Gdańsku.

PRZED POTOPEM...

Niegdyś była stolicą Nubii. Podupadła później do rządu maleńkiej wioski. Dziś nie ma tam nic. Faras zalane zostało wodami assuańskimi. A jednak Faras pozostało w... skarbcu kultury ludzkości. Misje archeologiczne z całego świata uratowały „przed potopem” bezcenne malowidła z VII i VIII wieku naszej ery: madonny i archaniołowie, święci i biskupi znów spojrzeli zadumanyimi oczami, przysypianymi przez wieki piaskiem.

Na mocy porozumienia z rządem sudańskim, połowa odkrytych przez nasze ekipy, pracujące pod kierunkiem prof. Kazimierza Michałowskiego, wykopalisk przypadła w udziale Polsce. W sumie 62 freski. Wśród nich słynna św. Anna, nazywana również „Moną Lizą z Faras”. Przepiękna, święta, tajemnicza, trzyma palec na ustach. Nakaz milczenia czy też zaduma nad ponadczasową wartością sztuki?

TOMASZ MIECIK
ANDRZEJ ROTERMUND

Oficjalnie lista skarbów, znajdujących się na terenie Polski, nie istnieje i nigdy jej nie ustalono, choć najznakomitsze polskie skarby liczą już sobie wiele wieków. Redakcja AR, kusząc się na ułożenie listy dziesięciu najlepszych dzieł, zorganizowała plebiscyt wśród polskich uczonych, prosząc ich, by wytypowali nasze skarby godne ogólnego uznania i zachwyty. W plebiscycie udział wzięli uczeni i znawcy sztuki tej miary co: prof. dr Stanisław Lorentz, prof. dr Jan Białostocki, prof. dr Ksawery Piwocki, prof. Aleksander Kobzdej i prof. dr Bohdan Marconi. Każdy z nich przedstawił „swoją” dziesiątkę arcydzieł sztuki. Osąd, jak należało się spodziewać, był z natury rzecz subiektywny. Ale udało się na podstawie indywidualnych wypowiedzi, po podsumowaniu punktów, ustalić listę dziesięciu najlepszych dzieł. Oto ona:

1. Ołtarz Mariacki — Wita Stwosza 42 pkt.
2. Drzwi Gnieźnieńskie 40 pkt.
3. „Dama z Łasiczką” — Leonarda da Vinci 35 pkt.
4. Krajobraz z miłosiernym samarytaninem — Rembrandta van Rijn 25 pkt.
- 5-6. Arrasy Jagiellońskie 20 pkt.
7. Tryptyk Sądu Ostatecznego — Hansa Memlinga 20 pkt.
8. Freski z Faras 18 pkt.
9. Polichromia w Dębnie 9 pkt.
10. Zespół batalistycznych obrazów — Piotra Michałowskiego 9 pkt.
11. Grobowiec Księcia Henryka IV 9 pkt.

Mniej punktów uzyskały: Zespół widoków Warszawy Canalettego, Kodeks Beheima, Zespół wielkich obrazów Jana Matejki, Kolumna Zygmunta i inne dzieła.

Nie patrzymy jednak na ostateczną punktację w sposób nie podlegający dyskusji. Stosunek do dzieła sztuki jest rzeczywiście kwestią subiektywizmu. W zamian więc za rozważania, co jest lepsze, a co gorsze — przedstawiamy krótkie wizytówki tych dzieł, historie nieraz dziwne, a często sensacyjne.

DZIEŁO LEWEJ RĘKI

Dopiero od niedawna powiedziec możemy ze strupocentową pewnością, że „Dziewczyna z gronostajem”, zwana także „Dama z Łasiczką” jest dziełem Leonarda da Vinci. Długo trwała na ten temat dyskusja wśród najlepszych znawców malarstwa włoskiego Renesansu, a z pomocą przyjsze musieli im najnowocześniejsze metody badawcze. Odpowiedź była jednoznaczna: obraz jest autentycznym i własnoręcznym dziełem Leonarda da Vinci, namalowanym w Mediolanie zapewne w latach 1483-1484. Argumentem ostatecznym był fakt, że obraz malowany był lewą ręką, a więc tak właśnie, jak malował Leonardo.

Trudną dla badaczy sprawą było określenie, kim jest młoda, piękna dziewczyna, sportretowana przez Leonarda. Być może, jest to Cecylia Gallerani, siedemnastoletnia podówczas, kochanka mediolań-



Fot. M. KOPEĆ

skiego księcia Lodowici il Moro. O tyle jest to prawdopodobne, że Leonardo da Vinci przebywał dłuższy okres na dworze księcia.

Wszystkie wątpliwości i sensacyjne zapytania nikną jednak z chwilą bezpośredniego spotkania z arcydziełem Leonarda. Pozostaje pełen wewnętrzny spokój wizerunek pięknej kobiety wyczarowanej przez wielkiego mistrza Renesansu.

WŁÓCZĘDZY NA OLTARZU

To był początek XV wieku. Zawaliło się wtedy sklepienie nad prezbiterium, niszcząc ołtarz główny Kościoła Mariackiego. Zamożne mieszczaństwo krakowskie zaczęło się zastanawiać nad ufundowaniem nowego ołtarza. Miał on być niezwykły, przerażający pod każdym względem ołtarze kościołów średniowiecznej Europy. Sprowadzono młodego, lecz szeroko już znanego snycerza z Norymbergi — Wita Stwosza.

Był rok 1477, kiedy Stwosz przystąpił do realizacji wiekopomnego dzieła. Z pomocą snycerzy, malarzy, pozłotników, stolarzy pracował przez lat dwanaście. Powstało dzieło imponujące tak wymiarami (szerokość 11 m, wysokość 13 m), jak i wartościami artystycznymi: największy ołtarz w średniowiecz-

była nigdy poddawana w wątpliwość, przeciwnie — uchodził zawsze za jeden z najbardziej interesujących, nielicznych krajobrazów, jakie wyszły spod pędzla Rembrandta. Tematem obrazu jest leśny krajobraz górski na chwilę przed burzą.

Wspaniały obraz Rembrandta przez dłuższy czas znajdował się w zbiorach obcych w Hadze i Paryżu, a do Polski przywędrował po zakupie w początku wieku XIX przez rodzinę Czartoryskich. Obok „Damy z Łasiczką” Leonarda da Vinci, stanowił chlubę kolekcji mieszczącej się w Domu Gotyckim w Puławach.

W ciągu wieku XIX obraz podróżował po Europie. Był w Paryżu, Amsterdamie, Londynie, Dreźnie. W końcu wrócił do Krakowa, skąd w czasie ostatniej wojny wywieziony został przez okupanta i wszedł w skład prywatnej galerii hitlerowskiego generalnego gubernatora, H. Franka. Po wojnie wraz z innymi dziełami sztuki wrócił do Muzeum Narodowego w Krakowie.

„KU POSPOLITEJ POTRZEBIE...”

Flaga ze swastyką powiewała już na wieży Eiffla. Ekipa ratująca skarby wawelskie — a wśród

Cecylia Błońska

„Proszę wycieczki” i odwrotna strona medalu



Muzeum w Łańcucie: zimowy ogród z niezwykle roślinnością, z egzotycznym ptactwem stanowi nie lada atrakcję.
Fot. M. Kopeć

TEMAT ujęty popularnym skrótem „proszę wycieczki” staje się coraz bardziej skomplikowany, w miarę jak wzrasta turystyka, zwiększa się sieć placówek muzealnych, jak działa wokół nich propaganda, jak rozwijając w szerokim promieniu akcję oświatową przyciągają z kolei nowych zwiedzających. Poczynając od dzieci z okolicznych wiosek, kończąc na wywołanych znawcach sztuki, kolekcjonerach, którzy zaintrygowani atrakcyjnym przewodnikiem potrafia podjąć długą podróż, by interesujące ich zbiory muzealne na miejscu oglądnać.

W takich aspektach przemysłowego obcowania z trudem raczej mielibyśmy się zadyszaną wycieczką, która naprzód w skwarze letniego dnia autobusem przemierzyła kilkaset kilometrów, później wyciekała kilka bitych godzin, by truchtem przelecieć przez niektóre pomieszczenia, krużganki, ledwo mając czas rzucić okiem na ten i ów eksponat. Trzeba się spieszyć, chociaż przewodników PTTK-owskich — jak to ma miejsce w Łańcucie, opłacono osobno, gdyż kolejna grupa z kolejnego autokaru czeka, nie zawsze cierpliwie, swej kolejki.

Oto odwrotna strona medalu nadmiernej popularności muzealnego obiektu: gdy liczba zwiedzających już na początek listopada daleko przekraczała 400 tysięcy, bez trudu rokując na koniec roku półmilionowego zwiedzającego, obopólna korzyść jest minimalna. Pomieszczenia, posiadki, zbiory ulegają szybszemu niszczeniu, sam zwiedzający poza widokówką „z wnętrzem” wysianą do rodziny i przyjaciół, częstokroć wynosi niewiele więcej z tej błyskawicznej mechanicznej taśmy.

Dlatego wśród węzłowych zagadnień na rok bieżący, łańcuckie muzeum jasno stawia konieczność ograniczenia żywiołowej frekwencji do optymalnej liczby 1500 osób dziennie. Nie wyczerpuje to zresztą złożonych problemów, które stają przed tak znakomitą i eksponowaną placówką.

Nie tylko zresztą przed Łańcucem. Czy na Rzeszowszczyźnie,

gdzie obok trzech wielkich, jak Muzeum — zamek w Łańcucie, Muzeum Okręgowe w Rzeszowie, Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku, sześciu muzeów regionalnych (Muzeum w Przemysłu, Krośnie, Jarosławiu, Sanoku i in.) istnieje 12 muzeów społecznych, coraz liczniej powstają wiejskie izby pamiątek, sieć muzealną nadal należy rozbudowywać? Czy też wszystkie środki i wysiłki kierować raczej na potrzeby już istniejących?

Nieblahe to pytanie. W dużej mierze przemysłowym koncepcjom, długofalowym planom przedsięwzięć na rzecz muzeów poświęcone było, jedno z ostatnich w roku minionym, posiedzenie Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie.

To nic, że przysłowiowy koniec roku w działalności rad łączy się przede wszystkim z problemami ściśle ekonomicznymi ze skrupulatnym rozliczaniem osiągnięć (a także braków), rozważaniami na temat zadań planu i budżetu, jakie stawia nowy rok. Tu także prowadzona była wnikliwa, gospodarska rozmowa nad odpowiednim wyprofilowaniem działalności muzeów. Chociaż w porządku obrad Prez. WRN przewidywało głównie aspekt pracy oświatowej placówek muzealnych, od razu niemal żywy dyskurs objął wszystkie ważniejsze problemy, z jakimi czołowe muzea regionu spotykają się na co dzień. W których rozwiązywaniu pomoc Woj. Rady Narodowej, resortu kultury, zaangażowanie terenowych rad narodowych, a także szerokiego aktywu politycznego, kulturalnego, oświatowego jest niezbędna.

Trudności lokalowe, niemożność rewidowania czy też uzyskania od nowa niezbędnych pomieszczeń dla zwiększających się zbiorów, na potrzeby zorganizowanej akcji oświatowej, ciąży zarówno nad Muzeum Okręgowym w Rzeszowie, jak i nad nieogarnionymi, jakby się na pierwszy rzut oka wydawało, pomieszczeniami Muzeum w Łańcucie.

Wbrew sztywnym założeniom, iż nowych placówek nie należy organizować, gdy nie ma dla nich

ani odpowiednich sum z budżetu województwa, ani gwarancji, że przysposobione pomieszczenia szybko doczekają się remontu, właśnie staraniom muzeologów Rzeszowszczyzna zawdzięczać będzie niejeden ocалony zabytek architektury, niejeden okaz sztuki wydarty zapomnieniu, przekazany potomnym.

W taki sposób Muzeum Ziemi Przemyskiej stworzyło w Dubiecku filię, poświęconą związanemu z przemyską ziemią, Ignacemu Krasickiemu.

Nie bacząc na niemałe zadania na miejscu, kustosz łańcuckiego muzeum zaangażował się w sprawę odbudowy zamku w Krasicy. O tym, że jest to bezcenna perła renesansowej architektury, że szybszy remont jest niezbędny, wypisano już przynajmniej tyle samo, ile na temat tego, jak niezmiernie trudno znaleźć użytkownika, a bez niego chociażby w dalekiej perspektywie nie sposób opracować planów adaptacji krasicyńskich wnętrz. Trzeba by też jak najszybciej jedną bodaj basztę czy salę przeznaczyć tam na muzealną ekspozycję. Dzięki muzealnej inicjatywie jakieś szanse ratunku wyłoniły się również dla pałacu w Sieniawie.

RAZ PO RAZ gospodarzom województwa, wiceprzewodniczącym Prezydium WRN prowadzącym naradę podawano do wglądu przewodniki, katalogi, sprawozdania poświęcone zbiorom w Rzeszowie, w Przemysłu, w Sanoku. Uczestnicy narady debatowali i nad tym, jakby najlepiej, najlepiej udostępnić zwiedzającym wszystkie cenne zbiory.

Ku pocieszeniu zainteresowanych: dylemat kolekcji rosnących szybciej niż ekspozycyjne sale, nie trapi li tylko muzealnictwa naszego regionu. Ba, nawet naszego kraju. Jest on w świecie znany i dojmujący podobnie jak i u nas. Miała możliwość oglądać magazyny Luwru. Widziałam olbrzymie bogactwo zbiorów niemożliwych do całkowitego eksponowania w słynnym British Museum w Londynie. Przez moment w podziemiach londyńskiej Tate Galery widziałam bezcenne arcydzieła światowego malarstwa, od których miłośnik sztuki doznać może zawrotu głowy... Od woskowych figur słynnych postaci czekających swej kolejki w magazynach znanej galerii figur woskowych „Chez Madame Tissaud” w Londynie, do wspaniałych zabytkowych sprzętów Muzeum Narodowego w Warszawie, zbiory równocześnie nie mieszczą

się już w gablotach, w salach, w galeriach. Temu niekiedy muzea w terenie — jak nasze w Baranowie — zawdzięczają swój wspaniały wystrój, stylowe urządzenie.

Wobec takiej sytuacji wystawy wędrowne, okazjonalne, przenośne — takie, z którymi Muzeum w Rzeszowie występuje od czasu do czasu w świetlicach terenowych domów kultury, jakie Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku kieruje do bieszczadzskich miejscowości — Muzeum w Przemysłu proponuje śmielej włączyć do międzynarodowej wymiany kulturalnej. Koncepcja warta jest w roku bieżącym uwzględnienia, rozpracowania, realizacji.

Drogi wiodące od rzeszowskich muzeów za granicę są przecież w pewnym sensie przetarte, kontakty z Galerią we Lwowie, z muzeami w Rumunii, w Czechosłowacji, w NRD dość żywotne. W związku z drugą międzynarodową kampanią muzealną, może pomocy w tym kierunku nie poskąpiłby ICOM (w gmachu UNESCO w Paryżu w siedzibie ICOM, pokazywano mi dokumentację rzeszowskich muzeów, zwiżyły opis ich zbiorów, fotosy). Tej prezentacji kultury regionu za granicą Prezydium WRN skłonne jest, również ze zrozumiałych względów propagatorsko-turystycznych, patronować.

*

JESLI kwietniowa sesja Wojewódzkiej Rady Narodowej w Rzeszowie, poświęcona zagadnieniom kultury Rzeszowszczyzny traktowała m. in. o sprawach muzeów, to narada zwołana na przełomie roku wyjątkowo dla samych muzeów, sprzecywała, wzbogaciła i rozszerzyła program działania tej ważnej dziedziny pracy kulturalno-oświatowej na rok 1988.

Wkrótce plan otrzyma szlif ostateczny, uzyska rangę wiążącego dokumentu. Będzie w nim mowa również o ideowych walorach muzealnej służby naukowej, o zaangażowaniu niezbędnym w placówkach, które stanowią winny — jak podkreślano po wielokroć — źródło wiedzy o regionie, jego przeszłości, dniu dzisiejszym, sukcesach, walkach, nawet i zamierzeniach.

Myślę też, iż niezależnie od tego, jak widzi to odnośny wydział, nadal w wojewódzkim mieście tak samo, jak i w małych miejscowościach, zakładających dopiero o siebie załączki malutkich muzeów — istnieje będa oddani sprawie fachowcy, miłośnicy skłonni uczynić wszystko, aby tylko dla zbiorów reprezentowanej placówki nabyć kolejny eksponat. Ich zdaniem, potrzebny, wartościowy.

Z tą myślą, iż kiedyś wyeksponowany, oświetlony, w sposób interesujący objaśniony przez odpowiednio przygotowanego przewodnika, na dłużej zatrzyma przy sobie zwiedzającego. Pouczy, każe mu podumać i wyłączonego z wycieczkowej „taśmy” przystanąć na dłuższą chwilę...



Muzeum Okręgowe w Rzeszowie: fragment stałej ekspozycji zabytkowych sprzętów i obrazów w dolnej kondygnacji.
Fot. M. Kopeć

Jan Grygiel

„ŻYCIE

Zmarły przed paroma tygodniami Romuald Pitera — pisarz i żołnierz miał bogatą biografie, zakrojoną z ładu renesansowym rozmachem. Ten syn nauczyciela z pod-rzeszowskiej wsi należał do pokolenia, któremu przyszło przeżyć dwie wojny światowe i kilka lokalnych oraz brać udział w wielu zakrętach i wirach historii. Pitera zawsze płynął w głównym nurcie dziejów. Raz wciągają go wydarzenia historyczne — decyduje za niego sam los, kiedy indziej świadomie wybiera najtrudniejszą drogę uważając, że tego wymaga od niego obowiązek obywatelski. Ilekundur nosił na sobie ten człowiek! Żołnierz POW u schyłku II wojny światowej, później żołnierz polskiej armii walczył w roku 1919 o Przemyśl z Ukraińcami; brał udział w II i III powstaniu śląskim, bił się w kampanii wrześniowej, w polskich oddziałach we Francji oraz służył w oddziałach desantowych w Anglii. Różny był król mundurów Pitera w czasie długiej żołnierskiej drogi, ale sprawa zawsze ta sama — walka o życie narodu. W przerwach między wojaczką studiował na Politechnice Lwowskiej, był handlowcem, bezrobotnym, nauczycielem gimnazjalnym, pracownikiem fizycznym i u schyłku życia literatem. Wprawdzie literatura nęciła go od młodości, bo już w roku 1922 zaczął publikować satyryczne opowiadania w prasie lwowskiej i górnośląskiej, lecz sądził wtedy, jak oświadczył 2 lata temu w swoim wywiadzie dla „Widnokręgu”, iż ma za mały bagaż doświadczeń, a więc za mało jeszcze do powiedzenia w literaturze.

Na serio, profesjonalnie zaczął pisać po powrocie z Anglii w 1946 roku. Najpierw były to tłumaczenia z prozy angielskiej (cykl opowieści fantastycznych oraz powieść Poversa „Śmierć faworyta”). Później zaczęły się ukazywać jego własne, biografii osobista poświęcone książki: „Życie na wyrost” (1962), „Podróżni z bronią” (1963), „Winnica Joanny” (1965) i „Gniew” (1965). Był także współautorem „Pamiętników powstańców śląskich” (1957) i książki „Godzina druga” mówiącej o bitwie o Górę św. Anny w czasie powstań śląskich.

Twórczość Romualda Pitera jest, jak już wspomniałem, niezwykle silnie osadzona w jego biografii. Jego książki z wyjątkiem „Winnicy Joanny” są opowieściami pamiętnikarskimi, mówią o autentycznych wydarzeniach i sprawach osobiście przez autora przeżytych kosztem krwi i desperackiego ryzyka. „Życie na wyrost” stanowi najwcześniejszą część biografii Pitera; jest obrazem dzieciństwa i młodości wiejskiego chłopca spod Strzyżowa (urodził się w Szufnarowej w roku 1901) u schyłku c. k. monarchii, w czasie I wojny światowej i w pierwszym okresie Polski międzywojennej. Pisarz ukazuje nastroje złych przeczuć, niepokoju i rozterki u progu wojny, przewalanie się frontów przez Podkarpacie, rozpad Austrii i pierwsze trudne lata wolności. Sam autor znajduje się w samym wirze tych wszystkich spraw. Najpierw jako uczeń wiejskiej szkoły w Szufnarowej, później jako gimnazjalista w Jaśle i w Rzeszowie, dezerterski jako austriackiej, i wreszcie jako ochotnik na froncie. Bierze udział w utarczkach z niedobitkami armii

NA WYROSZ

zaborczej i ich rozbrojeniu w Rzeszowie i w utrwaleniu władzy polskiej w Strzyżowie.

Ale „Życie na wyrost” przynosi nie tylko wiarygodne relacje z wydarzeń historycznych. Jest w tej książce bogactwo znakomitych obserwacji obyczajowych, barwnie ukazany koloryt lokalny podkarpaccy wiosek, soczyste sylwetki karczmarzy, dziadów, „wędruśców” chłopów, ck. profesorów gimnazjalnych i mieszczan. Ież tu jędrnych anegdot, zawieszonych opowieści, autentycznego ludowego humoru. Z perspektywy starej karczmy zamienionej na szkołę, a później ze stacji uczniowskiej w Jaśle i Rzeszowie Pitera ogląda rozpad tradycyjnego porządku obyczajowego w Galicji, krzeszenie się więzów rodzinnych i patriarchalnych tradycji.

Już w tej książce objawił się w pełni gawędziarski talent autora wyróżniającego go spośród współczesnych pisarzy. Pitera urodził się w kręgu bardzo utalentowanych, samorodnych gawędziarzy chłopskich, w których obfitowała kiedyś wieś rzeszowska. Wiedziony intuicją w tej chłopskiej gawędzie znalazł po latach narzędzie pisarskie.

To uchroniło go od naśladownictw i pozwoliło stać się kontynuatorem tradycji zanikającej u nas prozy gawędziarskiej. Na te walory książki Pitera zwrócił również uwagę Wojciech Zukrowski, pisząc w przedmowie do „Życia na wyrost”: „...Pozornie jest to opowieść jak najbardziej wierna faktom, dobrze osadzona w realiach, przedmiotowa, oszczędna, daleka od egzaltacji. Ale przyjrzyjcie się kadenecji zdań, rytmowi opisów samej materii słowa precyzyjnej i bogatej, korzeniami tkwiącej w mowie chłopskiej — tej czystej polszczyźnie niejednego pisarza o ustalonej sławie mógłby pozazdrościć”.

Dalsze opowieści Pitera również mają charakter gawędziarski, autobiograficzny. „Gniew” stanowi wzbogaconą i rozszerzoną wersję ostatnich rozdziałów „Życia na wyrost” — ukazuje barwny i dynamiczny obraz II i III powstania śląskiego, w którym pisarz pod pseudonimem „Ratępi” brał udział jako zastępca dowódcy pułku. Jako prawdziwym świadkiem opowiada Pitera żywo i interesująco o zdeterminowaniu i patriotyzmie ludu śląskiego. Potoczność i dynamika relacji po-

woduje, iż czytelnik odbiera książkę, jak frapującą powieść, mimo iż nie ma w niej żadnych elementów fikcji literackiej. Humor, jędrność stylu, wyraziste portrety śląskich robotników i działaczy powstańczych podnoszą walory czytelnicze „Gniewu”.

I trzeci rozdział biografii: — „Podróżni z bronią”. Dzieje ułtożsamionego, jak zwykle, narratora z autorem. Kłeska pod Rawą Ruską w kampanii wrześnieowej, ucieczka z niewoli niemieckiej do rodzimego Strzyżowa i praca przy przetrucaniu ludzi przez granicę słowacką do armii pol-



skiej we Francji. Później ucieczka autora z G. G. na Węgry i do Francji, służba w oddziałach polskich we Francji i w Anglii (m. in. w brygadzie spadochronowej płk. Sosabowskiego) i powrót do kraju. Pisarz, sam w tym czasie oficer liniowy w randze kapitana, surowo osądził intrygi polityczne, dekonwiktwo, gwałtowne poszukiwanie karier przez wielu oficerów i działaczy na emigracji. Poznał je dokładnie, odczuł ich działanie na własnej skórze, przechodząc cały emigracyjny szlak żołnierza polskiego na Zachodzie — od Budapesztu, przez Coëtquidan, port ewakuacyjny Saint-Nazaire, Londyn, do Szkocji. Ten sam szlak, którym wędrował inny pisarz, Ksawery Pruszyński. Więcej w tej książce gorczy i smutku, sceptycyzmu i troski niż w poprzednich. Ale też los „podróżni z bronią” nie skłaniał do optymizmu.

Jedyna powieść Romualda Pitera, a więc już nie opowieść biograficzna, to „Winica Joanny”. Pisarz zafascynowany sprawami śląskimi, związany z nimi emocjonalnie

(nie tylko przez udział w powstaniach — babka jego pochodziła z Górnego Śląska) ukazał los Lubuszanina znad Odry, dezertera z Wehrmachtu — Konrada Gabora. Wraz z postacią bohatera przeprowadza czytelników przez piekło obozu koncentracyjnego i karnej kompanii Wehrmachtu na froncie wschodnim i włoskim. Postać Gabora ma charakter syntetyczny — złożyły się na nią losy wielu Ślązaków i Lubuszan, wciągniętych wbrew swojej woli w tryby hitlerowskiej maszyny wojennej i mordowanych za brak lojalności w karnych pułkach.

Pisarz nie doczekał ukazania się nowych książek, opowiadających o jeszcze jednym dramacie matczynym okresie jego życia: o walkach w czasie kampanii wrześnieowej i później we Francji. Będą to opowieści pt. „Gorzki chleb” i „Trzydzieści dni”, które ukazały się wkrótce na półkach księgarskich. Nie zdążył również zrealizować swoich interesujących i bogatych planów pisarskich. Śmierć zabrała go w pełni aktywności twórczej i w pełni sił. Gdy rozmawiałem z nim przed dwoma laty zwierzał się, iż chce napisać książkę „Żywota dziadowskie” — zbeletryzowaną historię dziadów, wędruśców, włóczęgów i waganów od czasów historycznie odległych aż po współczesność. Liczył, że wiele mu w tym pomogą jego związki z Rzeszowszczyzną, krainą obfitującą kiedyś w barwne typy tego pokroju.

Z części zebranych materiałów chciał stworzyć widowisko pt. „Kiermasz dziadowski”, co w stylu adaptacji Dejmka z literatury staropolskiej. W dalszych planach zamierzał napisać opowieść o warszawskim domu oraz prozaiyczną bajkę dla dzieci i dorosłych. Nie wiadomo, ile zdołał z tych projektów zrealizować.

Było to istotnie „Życie na wyrost”. Trudno uwierzyć, że ten niski, krępy, dobronny człowiek, ze smakiem opowiadający znakomite dyktoryjki, mógł nieść go na swoich barkach. Był reprezentantem pokolenia, z którym historia najsrożej się obeszła i potrafił godnie dotrzymać jej kroku. Zostało po nim puste miejsce w naszej literaturze — brakło reprezentanta artystycznej gawędy pamiętnikarskiej, wyrosłej z najlepszych tradycji polskiej prozy.

U naszych przyjaciół

ZSRR

Radziecka Ukraina uroczysto obchodzi 50 rocznicę swego istnienia.

W związku z tym jubileuszem warto przytoczyć kilka cyfr ilustrujących dorobek kulturalny Ukrainy. Obecnie na Ukrainie istnieją 63 teatry, 25 filharmonii, 37 dużych zespołów muzycznych i 136 zespołów koncertowych. Czynnym jest 26 tysięcy państwowych klubów, domów i pałaców kultury, 69 tys. różnych bibliotek, 131 tys. państwowych muzeów i ponad 26 tys. kin.

W związku z 50-leciem Radzieckiej Ukrainy w Belgradzie w Domu Kultury Radzieckiej dokonano otwarcia Dekady ukraińskiej sztuki i literatury. Na otwarcie Dekady przybyli przedstawiciele życia społeczno-politycznego Jugosławii, działacze nauki, kultury i artyści. Z okazji Dekady czynna jest w salach wystawowych Domu Kultury wielka wystawa pt. „Twórczość narodu ukraińskiego”.

Na wystawie przedstawiono

akwarele i prace graficzne artysty USRR N. Giuszczenki, pracę artystów M. Deregusa, I. Batzenki, ilustracje do utworów literackich G. Małachowa i inne.

Ekspozowane są również wystawy fotograficzne pt. „Ukraina dzisiaj” oraz wystawy książek ukraińskich pisarzy, poetów i publicystów. Organizowane są projekcje filmów fabularnych i dokumentalnych zrealizowanych w wytwórniach filmowych Ukrainy.

BULGARIA

W Sofii podpisano porozumienie o współpracy pisarzy Bułgarii i Jugosławii. Porozumienie podpisano po rozmowach, które — jak głosi wspólny komunikat — przebiegały w duchu wzajemnego zrozumienia i przyjaźni. W komunikacie stwierdza się, że porozumienie o współpracy między bułgarskimi i jugosłowiańskimi pisarzami stanowi ważny krok w rozszerzeniu i umocnieniu tej współpracy.

Oprac. HENRYK RÓG



Krystyna Siemiatycka

MŁODZI PO ŚLUBIE

Gorzki smak miłości

Doświadczeni powiadają: w małżeństwie najtrudniej przetrwać przez tych pierwszych lat... dzieci. A młodzi?

„Małżeństwo jest walką, jak wszystko, i jak wszędzie decydują w nim dzielność, siła i lojalność”. To zdanie wyluskałam z blisko 400 wypowiedzi „młodych po ślubie” nadesłanych na ankietę — zwiad socjologiczny, podjętą przez „Życie Warszawy”. Plon ankiety wydany został następnie przez „Iskry” w książce „Młodzi po ślubie”.

Wybrałam to właśnie zdanie, a nie inne, ponieważ przewija się niby motto pośród kilkuset wypowiedzi. Bo już pierwsze doświadczenia uczą, że tylko te małżeństwa, które wykazują dzielność, siłę i lojalność, zdoła-

ją przebrnąć przez najpoważniejsze trudności pierwszych wspólnych dni.

Od pierwszego wejrzenia...

Na przestrzeni lat 1961—1965 zawarto w Polsce 114 tysięcy małżeństw. W 1966 roku — 226 tysięcy. Rozejrzyjmy się dokoła: z przysłowiową świecą w ręku trzeba by szukać par skojarzonych dla pieniędzy. Z rozsądku zawiera się dziś raczej małżeństwa powtarne lub związki dwojga osób w wieku dojrzałym. A młodzi... mimo wszystko na pierwszym planie stawiają uczucie. Inna sprawa, że co do jego głębi mają częstokroć po prostu złudzenia, które przyskają przy pierwszych niepowodzeniach.

Ponieważ dla rozstrzygnięcia, co to jest miłość, trzeba by roz-

pisać osobną ankietę, poprzestałbym na dobrej wierze, że nasi młodzi opierali się przy zawieraniu związku małżeńskiego przede wszystkim na uczuciu.

I od razu należy powiedzieć, że w wielu przypadkach było ono przyczyną zawierania związków pochopnych, przedwczesnych i sprawiało, że małżeński start bywał trudniejszy niż można by się tego spodziewać.

Młodzi nie lubią mobilizujących hasła. A przecież dwa hasła trafiły do nich bez pudła, szkoda tylko, że trochę poniewczasie. Hasło pierwsze, nawołujące do świadomego macierzyństwa, i hasło drugie — do wczesnego zabiegania o własne mieszkanie.

Najczęstszym zawołaniem młodych zakochanych było bowiem zazwyczaj optymistyczne: „jakoś to będzie”, najczęstszym posa-

giem — dziecko. Pół biedy, gdy lekkomyślność wykazali ludzie przynajmniej po studiach czy z dyplomem zawodowym w ręku, posiadający własny kątek bodaj w sublokatorskim pokoju. Gorzej, gdy panna młoda szła do ślubu wprost z ławki szkolnej, gdy „małżonków” przyjmowali do rodzinnego gniazda (w postaci pokoju z kuchnią na cztery czy sześć osób) postawieni wobec faktu dokonanego rodzice.

W rezultacie piszą z gorczycą: „Jestem całą duszą za rozsądnym planowaniem rodziny, przygotowaniem się zarówno materialnym, jak i moralnym do przyjęcia dziecka. Tylko wówczas stanie się ono radością, tylko wtedy na małżeństwie nie będą ciążyły nie spełnione marzenia i zawiedzione ambicje”.

Warunki szczęścia

Co jest istotne w małżeństwie?... wzajemne zaufanie, pomoc, wiara we własne siły i nadzieja, że z czasem będzie nam lepiej” — piszą ci, którzy pierwsze, najgorsze trudności mają poza sobą.

A trudności bywają dla młodych po ślubie tak ciężkie, że zaiste tylko dzielność, siła i lojalność pozwolą wytrwać. No, i oczywiście... miłość.

Narzeczeni, szukający mieszkania w kwaterek „odpadają” w konkurencji z rodzinami wielodzietnymi, zamieszkałymi w starych, wilgotnych budynkach. Dlatego tak ważna jest podjęta z wczesną troską o własne mieszkanie młodego, usamodzielniającego się człowieka. Jeżeli myśli o mieszkaniu „wpadła im do głowy” dopiero po zawarciu ślubu — sytuacja stawała się nagła i paląca.

„Szczęśliwcy” przyjmowani na wspólne mieszkanie z rodziną płacili za to utratą samodzielności, rozwodem. Ci, co nie chcieli popaść w niewolę rodziny, urządzali się byle jak, byle gdzie. Kątem, gdy było stać na drogi, sublokatorski pokój, z fantazją i rozmachem, gdy trafiło się wynajmując jakiś opustoszały „letniak”, sklecony z desek i ogacowany liśćmi, gdzieś w zakątku owocowego sadu. Byli i tacy, co

(Ciąg dalszy na stronie 4)

KAJETAN KOZMIAN jeżeli istnieje w świadomości przeciętnej inteligencji, zawdzięcza to nie tyle swoim utworom literackim, których dziś nikt nie czyta, ile opinii Mickiewicza, wyrażonej o nim w III części „Dziadów”, gdzie nasz wieszcz w aluzji włożonej w usta jenerała: „Opiewa tysiąc wierszy o sadzeniu grochu”, negatywnie potraktował autora „Ziemiaństwa”. Mickiewiczowski „Balladom i romansom” oraz „Konradowi Wallenrodowi” winien też Kozmian sławę zagorzałego pseudoklasyka, który zaciekle walczył z romantyzmem, do końca życia pozostając jego nieublaganym przeciwnikiem.

Utworami, które temu gorącemu zwolennikowi reguł klasycznych w poezji uitorowały drogę do literatury, były ody na cześć Napoleona. Kozmian, tłumacz i wielbiciel literatury rzymskiej: Tacyta, Tibullusa, Horacego i Wergiliusza, przeciwnik Targowicy, patriota w czasie powstania Kościuszkowskiego, już jako gospodarz w rodzinnych Piotrowicach w Lubelskiem, dał się porwać i uległ pojawiającej się na firmamencie dziejowym wschodzącej gwiazdzie Napoleona. Zwycięstwa tego wodza francuskiego włożyły mu pióro do ręki i uczyniły z niego nagle „głośnego” poe-
tę. Równocześnie owe ody napoleońskie otworzyły lubelskiemu palestrantowi drogę do kariery urzędniczej w nowo powstałym rządzie Księstwa Warszawskiego.

Po pierwszym zwycięstwie Napoleona pod Marengo, Kozmian był już autorem pronapoleońskiej „Ody na wojny w roku 1800”, w której złożył hołd wzrastającej sławie Napoleona. Wkroczenie wojsk polskich do Galicji pod wodzą księcia Józefa Poniatowskiego w roku 1809 dało piotrowickiemu gospodarzowi asumpt do napisania „Ody na zawieszenie orłów francuskich w Lublinie”, którą odczytał na publicznym posiedzeniu u Kajetana Hebdowskiego. Za wyżej wymienionymi poszła także w roku 1809 „Oda na pokój w roku 1809”. Kiedy przyszły komediopisarz Aleksander Fredro z entuzjazmem dla zjawiających się w Galicji wojsk księcia Józefa zaciągnął się ze swym bratem w ich szeregi, Kajetan Kozmian dzięki sukcesom zdobytym swoimi odami napoleońskimi, znalazłszy się na pseudoklasycznym Parnasie (jak mawiał: Et me dicunt Vatem, sed non ego credulus Illis) — zaawansował na referendarza Rady Stanu, która stanowiła właściwy rząd Księstwa Warszawskiego i został sekretarzem powstałej podczas marszu Napoleona na Moskwę Konfederacji Sejmowej, redagując i podpisując wraz z wybranym na marszałka teje konfederacji Adamem Kazimierzem Czartoryskim odezwy do narodu, wzywające do walki z Rosją przy boku Napoleona.

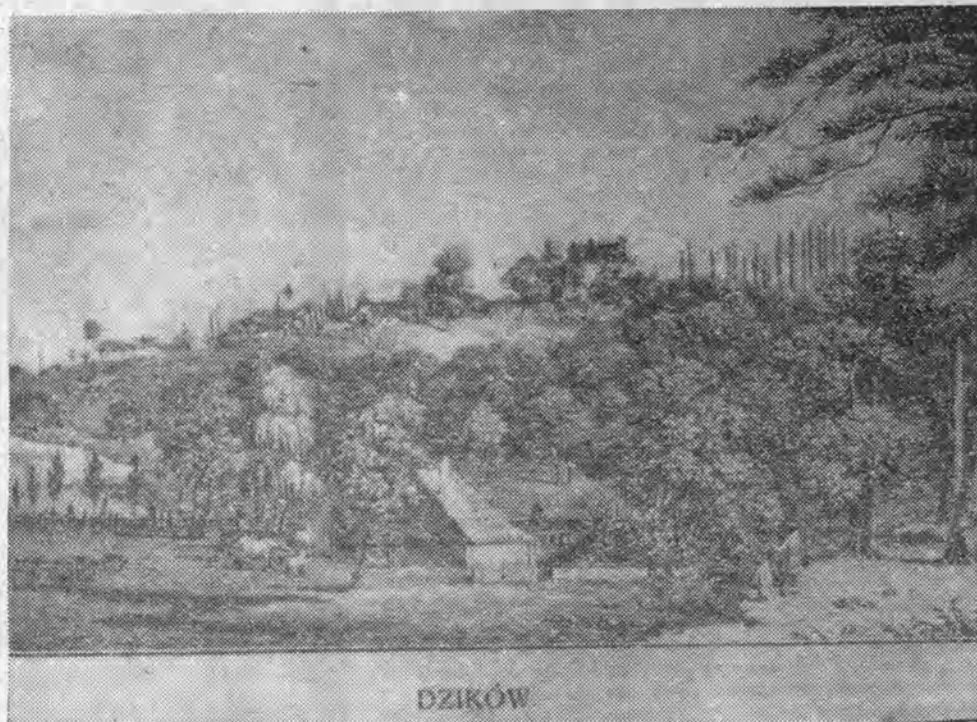
Stawczy się w ten sposób — jak się wyraził Aleksander Brueckner — „referendarzem także poezji” — z szacunkiem pełnił tę funkcję i ani na chwilę nie przestawał być zwolennikiem pronapoleońskiej orientacji. Wierzył w ostateczne zwycięstwo tego boga wojny, nawet po spaleniu stolicy Rosji, pisząc wtedy „Ode na pożar Moskwy”. Klęska cesarza Francuzów oraz tragiczny odwrót jego wojsk stały się przyczyną ucieczki Kozmiana z Warszawy i udania się na kilka miesięcy do domu jego serdecznego przyjaciela w Dzikowie: Jana Feliksa Tarnowskiego.

Jan Amor Feliks Tarnowski, właściciel rodzinnego Dzikowa i jego okolic, był chyba jednym z najinteligentniejszych i najbardziej zasłużonych członków tego zniemawidzonego i na ogół nielubianego w społeczeństwie polskim arystokratycznego rodu. Nie bacząc, czym kosztem wznosił swoją fortunę, zasłużył się nieźle w dziejach kultury polskiej i pod tym względem rolę Dzikowa w okresie porozbiorowym, można by porównać z funkcją niedalekiej Sieniawy książąt Czartoryskich. Urodzony w roku 1779 w Dzikowie kształcił się Tarnowski najpierw w Warszawie, później, od roku 1791, w Dzikowie, pod okiem przebywającego tu autora „Barbary Radziwiłłówny”, Alojzego Pelińskiego, który po krótkim okresie sekretarzowania Kościuszcze, z chwilą upadku powstania Kościuszkowskiego, znowu powrócił do Dzikowa, tym razem ze swoim przyjacielem Michałem Wyszowskim. W poezjach tego ostatniego zachowała się nawet oda „Do Jana Tarnowskiego z okoliczności jego urodzin roku 1795 w Dzikowie”, w której złożył hołd gościnności i jego cnotom.

Ożeniwszy się z inteligentną, jak na owe czasy, i bogatą dziedziczką, Walerią ze Strojnowskich, również jak jej mąż, trudniącą się pisarstwem, stał się Jan Feliks Tarnow-

ski twórcą słynnej i obfitującej w białe kruki, tak drukowane jak i rękopiśmienne, biblioteki dzikowskiej oraz zbioru obrazów. Porządkował je bawiący tu przez jakiś czas uczony ludoznawca, Łukasz Gołębiowski. Sam właściciel Dzikowa oprócz gromadzenia zbiorów trudnił się nauką i literaturą: tłumaczył Cycerona, pisał rozprawy historyczne i literackie; z tych jednakże tylko jedna zdołała ukazać się drukiem w „Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk” w Warszawie, które za nią uczyniło go swoim członkiem. Reszta pism Jana Feliksa pozostawała do dziś dnia w rękopisach. Wśród nich zasługuje na uwagę poemat opisowy, w którym, aczkolwiek nieudolnie, ulegając ówczesnej modzie literackiej, a głównie poezji Delille'a, opiewa wdzięki i piękności okolic rodzinnego Dzikowa:

„Niech mi Sofiówkę i Puławy
głoszą,
Ja miejsce urodzenia wspominam
z rozkoszą.
Nie masz tu świątyni Westy,
Tetydy chłodników,
Skromniejszymi wdziękami
podoba się Dzików —
Wzbożony darami hojnie
przyrodzenia,
Takie liczy powaby, jakich czas
nie zmienia,
Uniesiony kochanki i miejsca
wdziękami”.



DZIKÓW

Poemat ten napisał Tarnowski na cześć swojej żony Walerii, zwanej na co dzień przez niego „Walerką”, która mu dzielnie sekundowała w uskutecznianiu jego zamiarów literacko - naukowych; stąd też nie brakuje w utworze peanów na cześć swojej towarzyski życia. Zwracał się do niej:

„Czyli mię Dzików swoim
zachwyca widokiem,
Czy mię skarby roślinne zwabia
swym urokiem,
Z dzieciństwa do młodości
ubiegły czas miłe,
Czy słodsze z przyjaciółmi
przepędzone chwile,
Czyli na widok szczątków myśli
każę chętnie
Opiewać bohaterów i dzieła
pamiętne,
Ty mię natchnij, Ty mojej
uśmiechnij się pracy,
Żeby mnie z przyjemnością *!)
czytali wieśniacy!
Już z stołkiem technieniem wiosny
wszystko się odradza,
Już Wisłę z kajdan łodów
uwalnia ją władza,
Nie już nam mroźnych wichrów
powiewają gaje,
Unosząc się skowronek hasło
wiosny daje.
Wśród równin, gdzie Wisła
z Sanem nurty łączy,
Do niej drobniejsze rzeczki wody
swoje sączą,
Dzikie niegdy legły zwierzęta,
(Skąd może miejsce wzięło
nazwisko Dzikowa)”.

Oprócz wyrazu uczuć dla swej żony, zgodnie zresztą z właściwościami tej formy literackiej konwencjami, znalazły się w poemacie i akcenty patriotyczne.

Poznanie Kajetana Kozmiana z Janem Feliksem Tarnowskim nastąpiło w Warszawie, podczas po-

siedzeń Towarzystwa Przyjaciół Nauk, którego członkami byli obaj mężowie. W sukurs przyjaźni referendarzowi stanu i sekretarzowi Konfederacji Sejmowej przysłał także pronapoleońska orientacja właściciela Dzikowa, zasiadającego w rządzie Księstwa Warszawskiego. Kiedy Kozmian, obserwując odwrót wojsk napoleońskich przez Warszawę, na własne oczy oglądał nieuchronną klęskę cesarza, musiał prędko — jako członek rządu, aby uniknąć prześladowań władz rosyjskich — uciekać z Warszawy. Krytyczna jego sytuacja w stolicy podsunęła mu na myśl przyjaciela w Dzikowie. Jeszcze na kilka miesięcy przed opuszczeniem stolicy i przeniesieniem się z tymi członkami rządu, którzy mimo klęski Napoleona chcieli wiernie mu służyć — słał do Dzikowa list z listem, polecając opiece Tarnowskiego swoją żonę, którą pragnął wysłać do Chwałowic; relacjonował w nich dokładnie przesuwanie się frontu i dawał obraz cofających się spod Moskwy wojsk francuskich, nie mogąc uwierzyć w upadek tak uwielbianego przezeń wodza. Z tych tygodni zdaje się pochodzić opublikowana dopiero później „Oda na upadek dumnego”. Wskazują na to pewne analogie tego utworu z tekstem listu jej autora do Tarnowskiego z 11 I 1813 roku, w którym pisał o rozbitkach świetnej niedawno armii francuskiej.

Aleksander Żyga

DZIKOWSKA „kwarantanna”

cie i napisaniu anonimowo satyry „Na tańczący Kraków”, drogą przez Wieliczkę, Pilzno, Jaworzę, Dębicę i Wojstaw przybył do Dzikowa. Opis kilkunastugodniowej „kwarantanny” w Dzikowie pozostał w napisanych dopiero pod koniec życia „Pamiętnikach”. Zakończył w nich:

„Dzików jest małym miasteczkiem w nader przyjemnym położeniu, ma kościół, klasztor, księżę dominikanów fundacji Tarnowskich. W pobliżu wznosi się pałac z ślicznym widokiem na Wisłę i rozległe łąki do klucza dzikowskiego należące. Z okien pałacu widać Sandomierz z jego kościołami i klasztorami, piękniejszy z daleka niż z bli-

nowskim przyjaciela, towarzysza, gospodarza uprzejmego i wyborczego, który przede mną te skarby wszystkie otworzył i używać ich dozwolił; łączą nas jednakże uczucia, jednakowe przekonania, jedna ufność w sobie i koleżeństwo w ojczyściej sprawie i może niejaki, a jednak dla kraju ofiary i zastęgi”.

W Dzikowie Kozmian wraz z licznymi uchodźcami, którzy także znaleźli tu schronienie, wbrew maksymie, że inter arma silent musae, mógł nie tylko przeczekać niespokojne chwile odwrotu wojsk francuskich, ale nawet oddać się swym zainteresowaniom literackim. Tarnowski czytał zacnemu gościowi urywki z napisanych już prac historycznych, pytając go o zdanie, zachęcał do ukończenia „Ziemiaństwa”, namawiał do przekładu Wergiliusza, przede wszystkim „Bukolików”. Wiejskie otoczenie nadwiślańskich równin miało, zdaniem Tarnowskiego, zastąpić znękanemu tułaczowi rzymskie równiny opiewane przez starożytnego poe-
tę, a zasobna w klasyczne dzieła biblioteka właściciela Dzikowa dostarczyła niezłych wydań utworów Wergiliusza. Dokonałszy tłumaczenia „Bukolików” w Dzikowie, opatrzył je Kozmian dokładnymi przypisami i obiecał dedykować dzikowskiemu opiekunowi.

„Cztery blisko miesięcy bawiłem w domu Jana Tarnowskiego — pisał w „Pamiętnikach” — i sprowadziłem do siebie żonę z synem, która tułając się pod opieką brata mego, infutata podówczas zamojskiego, zjechała do Chwałowic do moich dawnych znajomych państwa Wierzbickich (...) Jan Tarnowski wszystkie folwarki i domy przeznaczył na ich (emigrantów) umieszczenie i swoją gościnnością obdzielał. Dla mnie i żony przeznaczył folwark Trzeźnie, gdzie był dom wygodny i ogrodami otoczony, o milę od Dzikowa, w którym wprzódy sam po ożenieniu mieszkał (...) sam przyjąłem mieszkanie w Wielowsi bliżej Dzikowa, czego później o mało katastrofą nie przypłaciłem”.

W Wielowsi bowiem przypadło przeżyć Kozmianowi w sierpniu 1813 roku wielką powódź, której dokładny opis został także w „Pamiętnikach”. Pobyt w Dzikowie uropadł autor ód napoleońskich wypadami do mieszkających niedaleko krewnych i znajomych, które mu umiły jako tako gorące dni ówczesnych wydarzeń politycznych. Gościł mianowicie u Bobrownickich w Jaworzcu i odbył wycieczkę do niedalekiego Brano-

„Codziennie się do Warszawy zwołując, podobni są do cieni zmartwychwstałych niż do ludzi, z odmożonymi rękami i nogami, sztorzącąc i nam, i wrogowi — nie ma przykładu w historii podobnej rozsypani i podobnego końca kampanii”.

Na prośbę małżonka posłał Tarnowski zawczasu paszport dla żony Kozmiana na pobyt w Trześni, sam zaś z garstką uczestników Konfederacji Sejmowej: Badaniem, Staszkiem i innymi, znalazł się w Krakowie, skąd po krótkim poby-

sku. Pałac otaczają piękne ogrody i kanały, oranżeria i klomby z drzew i plant rozmaitych i zagranicznych. Jan Tarnowski, wielki i namiętny znawca i miłośnik zielnictwa, założył te ogrody, które matka jego, Czacka z domu, dzieląc smak syna, pielęgnowała. Zastąpiłem w Dzikowie liczną i nader piękną bibliotekę, tak narodową, jak w starożytnych i nowoczesnych językach, nado edycje, zbiory obrazów najpiękniejszych mistrzów i rozmaite pomniki kunsztów, nade wszystko zastąpiłem w Tar-

MŁODZI PO ŚLUBIE

(dokończenie ze str. 3)

starannie skrywając swój związek małżeński przekradali się do Akademika, bądź pędzili osobne dni u krewnych. Podwójną tragedią stawało się wówczas nie zaplanowane, nieprzewidziane dziecko. Młode matki szybciej godziły się z myślą tego przedwczesnego powiększenia rodziny. Płacili jednak za to: przerwaniem studiów, zaharowaniem się, biedą. A gdy mężczyzna okazał się nieodpowiedzialny — również osamotnieniem.

Przeobrażenie dla dzieci

Gdy pisali te pamiętniki, na ogół czynili to już w przytulnych pokojach nowych mieszkań. Na refleksje przyszedł czas, gdy droga życia wyprostowała się, gdy z optymizmem mogli patrzeć w przyszłość. Ale spojrzenie wstecz pełne było zadumy.

Dla szczęśliwie dobranych par pierwsze trudne lata stanowiły próbę charakteru i prawdziwości uczucia. Ale jakim kosztem! Miłość zwarzona została gorzkim osadem pierwszych kłopotów, zgrzytów, nieporozumień bądź z otoczeniem, bądź z partnerem, który okazał się niezbyt dojrzały do podjęcia na swoje barki odpowiedzialności za drugiego człowieka. Uporczywie, kończące się wieloma niepowodzeniami wędrówki za własnym mieszkaniem stwarzały atmosferę beznadziejności.

Spojrzenie wstecz bywa pełne melancholii nawet wówczas, gdy wspomnienia upiększa świeżość uczucia. Można było mądrzej... Ba, gdybyż wiedzieli...

Dziś umiemy już odróżnić sprawy zasadnicze od niepotrzebnych, stanowiących tylko i wyłącznie konsekwencję lekkomyślności.

Gdyby jeszcze raz... Tak, na pewno tylko z nią, tylko z nim, ale nie tak pochopnie, bez zastanowienia. I jeszcze jedno: nie kosztem wyrzeczenia się (szczególnie przez kobiety) własnych ambicji, zrezygnowania ze studiów, z zawodu. Bo potem, gdy dziecko podrośnie, gdy mąż osiągać będzie nowe sukcesy, narastać zacznie żal i pretensja, że oni to właśnie, najbliżsi i najdrożsi, stali się powodem pustego życia.

Te wszystkie marzenia i refleksje, przemyślenia i odczucia mają zamiar przekazać swoim dzieciom, przestrzec je, pouczyć. A dzieci, gdy dorosną..., no cóż, tego przewidzieć się nie da, co zrobią dzieci. Najprawdopodobniej znów pobiorą się z wielkiej, „takiej, jakiej jeszcze nie było”, kosmicznej miłości!

KRYSTYNA SIEMIATYCKA

wa, majętności Jana hr. Krasickiego, gdzie oglądał manuskrypty arcybiskupa warmińskiego.

Kiedy wojna przeszła przez Galicję i sytuacja polityczna się wyjaśniła, powrócił Koźmian do swojej posiadłości w Piotrowicach. O Tarnowskim jednak nie zapomniał, pragnąc go znowu odwiedzić. Ulo-

Koźmiana

żono spotkanie w Chwałowicach, ale tu stanęła na przeszkodzie sprawa paszportu, bowiem po Kongresie Wiedeńskim siedziby obu mężów zostały przedzielone kordonem granicznym. Otrzymanie paszportu miał im ułatwić będący w łaskach u cara rosyjskiego, mieszkający teraz w Puławach, książę Adam Kazimierz Czartoryski. Wymiana listów obu przyjaciół trwała dalej. Żył w Koźmianie nadal miłe wspomnienia pamiętnych dni 1813 roku w Dzikowie, marzył ciągle o powtórnym odwiedzeniu siedziby Tarnowskich.

„Znana nam jest droga do Dzikowa — pisał do Tarnowskiego 26. I 1832 roku — zechcesz JW Pan pozwolić nam na nową zwiedzić”. „O jakże chętnie wybrałabymy się do Galicji — pisał innym razem. — Powołują nas tam i Dzików, i Wysocko (siedziba księżnej Wirtemberskiej), i związki pokrewne, nawet niektóre interesa (...) Chciej panie wierzyć, że w tej pielgrzymce przyjaźni Dzików będzie pierwszym z miejsc świętych (...) „Bukoliki” moje ukończone w Dzikowie wyjadą kiedyś z przypisem dla Ciebie — pozwolisz mi ten dług wypłacić Tobie, i miejscu, które mi spokojnego użyczyło schronienia (...) Pamiętam, drogi przyjacielu, o długu moim, który ci winienem. „Bukoliki” moje tłumaczone w Wielosiu i dla Ciebie jako świadectwo mojej pamięci i wdzięczności za przytułek przeznaczony czekać tylko porządnego przepisania, a przemowa do Ciebie jest już na warsztacie”.

Niestety nie ukazały się dotąd i do dnia dzisiejszego spoczywają w rękopisie.

Opuszczony Dzików, Koźmian osiadł w Piotrowicach, pędząc żywot wzorowego ziemianina. Dwa razy przekroczył tylko granice Galicji: raz udając się do Wiednia, drugi raz w roku 1834, kiedy uczęszczał w ślubie swego syna Andrzeja Edwarda w Dobrzechowie, który pojął za małżonkę właścicielkę tej i okolicznych włości, Teofilę Skrzyńską. Przez małżeństwo, związki Koźmianów z tym regionem stały się ściślejsze, bo rodzinne, chociaż Andrzej Edward rzadko przebywał w Dobrzechowie. Dobrzechów był miejscem, gdzie skrzątnie i pieczolowicie przechowywano pozostałe po Kajetanie rękopisy i bibliotekę, udostępniając je zaufanym przyjaciołom wnuka Kajetana, Stanisława Koźmiana, znanego teatrologa i publicyście oraz jednego z twórców „Teki Stańczyka”. W Dobrzechowie spoczywają też zwłoki syna i wnuka autora ód napoleońskich: Andrzeja Edwarda i Stanisława.

Wracając do przyjaźni stosunków Kajetana Koźmiana z Janem Feliksem Tarnowskim, należy dodać, że autor „Ziemiaństwa” upamiętnił zgon swego dzikowskiego przyjaciela wydaniem w roku 1842 we Lwowie „Rysu życia Jana Feliksa Tarnowskiego”, w którym na tle jego biografii uwypuklił zasługi kulturalne i naukowe twórcy biblioteki dzikowskiej. Dał w nim pierwszą pracę, która mimo zawartych w niej akcentów panegirycznych do dziś dnia stanowi nieocenione źródło do poznania życia tego zapewne najbardziej zasłużonego dla dziejów kultury polskiej członka rodu Tarnowskich.

ALEKSANDER ŻYGA

Przedstawiciel dyrekcji, który oprowadzał mnie po przedziałach i tkalniach był dla mnie łaskawy. — Ja swoją osobą nie będę kępował robotnic, stanę na uboczu a pan niech pyta o co tylko zechce.

Niestety, szum maszyn uniemożliwiał jakakolwiek rozmowę. Po godzinnym przebywaniu w hałaśliwych halach poczułem dokuczliwy ból głowy... Mój cicerone z dobrotliwym uśmiechem poinformował mnie, że to jest właśnie specyfika przemysłu włókienniczego, o którą uprzednio pytałem. Hałas? — Do hałasu można się przyzwyczaić; dopiero po wielu latach pracy tkacki skarża się na osłabienie słuchu.

W innym zakładzie włókienniczym nie spotkałem się z tego rodzaju niefrasobliwością. Dyrektor ze znanym mi mówił mi o szkodliwości hałasu, opowiadał o różnych próbach jego zwalczania. M. in. polecono swego czasu nosić nauszniaki przeciwhałasowe, ale robotnice nie chciały ich używać, bo ucisk powodował ból głowy. — Problem hałasu — zakończył dyrektor — już wkrótce rozwiążemy — otrzymamy nowe maszyny, wydajniejsze i zarazem bezszmerowe.

Za hałas uważa się każdy dźwięk niepożądany z punktu widzenia kultury i organizacji pracy oraz wypoczynku. Na czym polega jego szkodliwość? Robert Koch, odkrywca zarazków gruźlicy, powiedział: „Nadejdzie dzień, gdy człowiek będzie musiał walczyć z bardzo niebezpiecznym wrogiem swego zdrowia — z hałasem, tak samo, jak kiedyś walczył z cholera i dżumą”. Dla nas — przyzwyczajonych do szumu miejskiego, mających głośnych sąsiadów — prognoza ta może się wydać przesadna, ale jak podaje Czesław Puzyna („Horyzonty Techniki”, nr 10/67), intensywność wytwarzanego hałasu rośnie w skali światowej o 1 decybel w 10-lecie.

Znawcy zagadnienia podają różne wskaźniki dopuszczalnego nasilenia hałasu, wymieniając przeważnie granicę około 90 decybeli, a podobno już przy 85 decybelach może nastąpić uszkodzenie membrany w uchu wewnętrznym. Jeśli natomiast jesteśmy narażeni na długotrwałe działanie niepożądanych dźwięków, uszkodzenie membrany następuje nawet przy 75—80 decybelach. Nie wnikając w szczegóły, warto podać, że w wielu naszych fabrykach natężenie hałasu sięga nawet 120 decybeli, np. w kotłarniach, walcowniach lub sprężarkowniach. Wspomniany już autor, Czesław Puzyna, pisze, że po 30 latach pracy w kotłarni zaledwie 20 proc. robotników słyszy jeszcze szepc z odległości jednego metra; pozostali mają uszkodzony słuch, są w mniejszym lub większym stopniu głusi.

Szkodliwe działanie hałasu nie

ogranicza się tylko do osłabienia słuchu; ujemnie oddziałuje także na cały organizm, zwłaszcza układ nerwowy, przyczyniając się do powstawania różnych schorzeń. Szczególnie szkodliwy jest hałas monotonnie przerywany, taki jaki powstaje przy używaniu świderów drogowych, nitowaniu wybuchowym czy ciężkich prasach.

Zazwyczaj mówi się o hałasie wytwarzanym właśnie w zakładach przemysłowych, a konieczność jego zwalczania uzasadnia się ujemnym wpływem bodźców

Zdzisław Koziol

DECYBELE ATAKUJĄ

akustycznych na wydajność pracy. I tak np. specjaliści skupieni wokół Międzynarodowego Biura Pracy w Genewie podają znamieny przykład. Doświadczonych robotników umieszczono w sali znajdującej się obok hałaśliwej kotłowni; w 80 zmontowanych przez nich regulatorach temperatury ujawniono aż 60 braków. Po przeniesieniu do spokojnego pomieszczenia, robotnicy ci wykonali w tym samym czasie 110 regulatorów, przy czym tylko 7 aparatów miało usterki.

Inny przykład: w jednej z francuskich fabryk, zmniejszenie hałasu o 20—25 decybeli zlikwidowało przeszło połowę braków, przy równoczesnym zwiększeniu wydajności. Również polskie badania potwierdzają współzależność między bodźcami akustycznymi a wydajnością pracy. Lecz chodzi nie tylko o wydajność, ale także o szeroko pojęte bezpieczeństwo. Dlatego m. in. poleca się badania mające usprawnić sygnalizację akustyczną, która — jeśli działa wadliwie — bywa przyczyną nieszczęśliwych wypadków.

Skoro już mówimy o polskich doświadczeniach, to warto dodać, że nasi specjaliści dopracowali się wielu sposobów przewyższania ujemnych skutków hałasu przemysłowego. Niektóre z nich zaprezentowano na zorganizowanej w Politechnice Warszawskiej wystawie pt. „Człowiek a praca”. O interesującej nas problematyce coraz częściej pisze się w pismach fachowych, w różnego rodzaju informatorach itp. Wydaje się jednak, że świadomość zagrożenia nie jest jeszcze powszechna, a ograniczanie się głównie do propagowania walki z hałasem przemysłowym nie prowadzi

do skutecznej ochrony naszego zdrowia.

Nie pretendując do wiążących ocen, bo tu kompetentni są specjaliści, zaryzujemy twierdzenie, że nie mniej szkodliwy jest hałas, z którym stykamy się poza halą fabryczną. W fabryce przebywamy tylko 7—8 godzin dziennie; po powrocie z pracy jesteśmy narażeni na działanie hałasu komunikacyjno-komunalnego i mieszkaniowego. Jakże często nawet w miejscach wypoczynkowych nie znajdujemy u-

pragnionej ciszy.

Wyłania się więc wiele problemów, wobec których przechodzi się nieraz obojętnie, przyjmując je jako rzecz naturalną, jako cenę, którą rzekomo musimy płacić za cywilizację, postęp techniczny, mechanizację życia w ogóle. W krajach cywilizowanych występują tendencje do prawnego zwalczania hałasu, m. in. wprowadzania w miastach ruchu bezdźwiękowego, zakazu głośnego odbioru radiowego w nocy, ustanawiania norm dopuszczalności hałasu w budynkach mieszkalnych czy obiektach fabrycznych. Jednak polskie ustawodawstwo w tym zakresie jest znacznie opóźnione, choć przygotowuje się odpowiednie akty normatywne. Dotychczas bodajże tylko w dwóch albo trzech miastach, rady narodowe podjęły uchwałę o zwalczaniu hałasu. W pozostałych natomiast bezkarnie grasują wozy reklamowe, niefrasobliwie ryczą megafony publiczne, nie mówiąc już o głośnej komunikacji czy hałaśliwych warsztatach rzemieślniczych.

Ochrona człowieka przed hałasem to nie tylko problem techniczny, instalowanie nowych u-

ządzeń czy pomieszczeń dźwiękochłonnych, ale także problem kultury życia codziennego. A to właśnie dotyczy mieszkańców miast. Upraszczając, można powiedzieć, że mniej szkodliwy jest świder wierzący ulicę przed naszymi oknami — gdyż remont nawierzchni nie odbywa się codziennie, a niektóre przedsięwzięcia zaopatrują się w specjalne namioty dźwiękoszczelne — niż hałaśliwy sąsiad, który latami zakłóca spokój niezależnie od pory dnia i nocy. Nie pomagają apele spikerów radia i telewizji, by w godzinach nocnych ściszać odbiorniki. A te trwające do rana prywatki i zabawy lub pijackie awantury, których nam codzienność nie szczędzi...

Uwzględnijmy jeszcze inny aspekt zagadnienia; jesteśmy hałasem zmęczeni, lecz równocześnie ten hałas jakby nam imponował, bo jak inaczej wyjaśnić np. upodobania do nader głośnej muzyki; obserwuję nieraz grupy młodzieży upajającej się zgiełkiem szafy grającej, podkręcaną jak to się zwykło mówić na cały regulator. Wspomnę, że badania amerykańskie wykazały uszkodzenie słuchu u członków zespołów jazzowych i big-beatowych. O ironio, muzyka powoduje kalectwo tych, którzy ją uprawiają! Ucho człowieka jest jednakowo wrażliwe na zbyt silne dźwięki, niezależnie od tego, czy jest to hałas w potocznym rozumieniu czy muzyka. I tak, np. beben w orkiestrze przy fortissimo jest źródłem dźwięku o intensywności około 107 decybeli. A jaką intensywność hałasu daje „muzyka” z kilkudziesięciu naraz radiowych odbiorników transistorowych, włączanych na ulicach, placach czy w parkach?

Przykłady można mnożyć. Pamiętamy jednak, że każde dziesięciolecie ery cywilizacji przynosi nasilenie intensyfikacji hałasu o 1 decybel w skali światowej. Miał chyba rację Robert Koch dopatrując się w hałasie groźnego wroga zdrowia człowieka. Ludzkość w zasadzie pokonała dżumę i cholera, lecz czy ochroni się przed tym nowym wrogiem, czy znajdzie skuteczne metody jego zwalczania?

Jubileuszowa szopka rzeszowska

W poprzednim numerze „Widnokregu” opublikowaliśmy fragmenty Rzeszowskiej Szopki Noworocznej. Obecnie drukujemy krótką rozmowę z jej autorem, Władysławem Szwąją, z okazji małego jubileuszu jego twórczości satyrycznej — jest to bowiem jego 5 z kolei szopka.

Zyskał Pan dużą popularność w Rzeszowie dzięki swoim noworocznym szopkom. Wielu z mieszkańców Rzeszowa, zwłaszcza tych obdarzonych poczuciem humoru, uważa za pewne wyróżnienie wzmiankę o nich w szopkowym tekście. To stanowi dla nich jakąś formę nobilitacji do kręgu elity kulturalnej i towarzyskiej. Czy możemy liczyć na następne szopki pańskiego pióra?

Nie zamierzam rezygnować z pisania szopek, a nawet chcę stworzyć stały kabaret literacko-polityczny o obiecującej nazwie „Matador”. Chciałbym, aby programy kabaretu usprawiedliwiały jego nazwę. Przenoszę się jednak z moją działalnością z Domu Kultury WSK do Wojewódzkiego Domu Kultury. W nowym już miejscu odbędzie się premiera Rzeszowskiej Noworocznej Szopki 1968, na którą serdecznie zapraszam mieszkańców Rzeszowa. O ile wiem, w Domu Kultury WSK także będzie czynna szopka, ale ja już nie mam z nią nic wspólnego. Kto wystąpi w pańskiej szopce?

Ludzie, którzy pracowali kiedyś w „Meluzynie”, m. in.

Bogusława Niska, Izabela Kruszyńska, Jerzy Botiuk, Tadeusz Cieśla, Stanisław Niski czy Lubomir Ramocki znani widzom rzeszowskim z tamtych szopek.

Słyszeliśmy w dniu 31 XII ub. roku pańską szopkę w programie Rzeszowskiej Rozgłośni Polskiego Radia. Czy ma ona jakiś związek z szopką w WDK?

Nie. To była szopka napisana specjalnie na zamówienie radia rzeszowskiego i zarazem pierwszy publiczny występ kabaretu „Matador”. Później kabaret będzie działał w Klubie, który organizuje WDK (za co mu chwala — to dobra inicjatywa). Chcę jako jego kierownik i reżyser wykorzystać w nim twórczość rzeszowskich poetów. Liczę na współpracę z nimi, na dobre teksty i na dobre pomysły. Występy odbywać się będą co dwa tygodnie. Oczekujemy na to, iż będą gromadzić elitę kulturalną miasta.

Zyczymy powodzenia i zapowiadamy żarliwie kibicowanie zarówno szopkom, jak i „Matadorowi”.

Rozmawiał: J. G.



FOT. CAF SOKOŁOWSKI

Adam Janusz Bień

GWIĄZDA Świecila czerwona

(Fragment opowiadania)

Śmierć była w stanie nie-trzeźwym. Choć mieliśmy na nią oko od samego początku, nie wiadomo kiedy i gdzie tak ją uraczyli, że chwiała się na swoich badylich nogach, kosa wypadała jej z drżących rąk, zaś biała szata wlokła się za nią po ziemi jak ogon za parszywym kundlem. Krótko mówiąc: wielki wstyd i hańba dla nas, chłopaków z podmiejskich domków, kołędników najlepszych w całej parafii.

Najstarszy był zły.
— Kto ją schlał? — Patrzył nam prosto w oczy groźnym wzrokiem i pytał: — Który z was widział, jak ona pije...

Zimno było. Kłęby pary wałily z ust niczym dym z kominów. Nikomu nie chciało się gadać w taki mróz. Zresztą, co tu gadanie pomoże, skoro fakt jest faktem: śmierć mocno zamoczona alkoholem, a jej partner, szczeniakowaty Herod, zaczyna się buntować: — Do domu pójdę — mówi — do mamy, bo ona celu nie ma; wlała się świnia w pestkę; ona powinna udawać, że zabija, i nie wolno jej zabijać naprawdę. Szyja mnie boli. Wali tą kosą po karku, że aż sine pręgi wyskakują. W dupie mam taką zabawę, ide, czuć... — Złota koronę z głowy zrzucił i odchodził. Najstarszy pobiegł za nim. Dogonił go, coś mu klarował do ucha, poklepał go po plecach i chyba zdolał przekonać, gdyż tamten rozgarnął dłońmi śnieg, wyciągnął z zaspły błyszcząca koronę, o portki ją wytarł, potem wsadził na głowę i poszliśmy w stronę światełek migoczących w oddali, poszliśmy krokiem szybkim, przycięci ku ziemi, złamani podmuchem ostrego wiatru, co leciało od gładkich, śnieżnych pól.

Szliśmy cicho, w milczeniu, oszczędzając siły, aby później, gdy wejdziemy w uliczkę, huknąć gromko pod oknami pieśń wigilijną, wyważyć drzwi koleśki radośnie, wtargnąć do ciasnej izby, oszołomić domowników, zadziwić i rozczyć, i czapkę nadstawić, forszę w czapkę zgarnać, jak naiwiecej tej forsy kochanej, monety koniecznej i niezastąpionej, bez której ani żyć, ani umierać, bo za porzecz też się płaci: księdzu za ostatnią przystupę, organście za asystę, chłopakowi zaś, który krzyż nosi, w łapie trzeba również coś wcisnąć, żeby się nie obrzucił i na świeża mogiłę nie napluł ze złości.

Oszczędzaliśmy zatem siły, idąc śpiesznie w stronę światełek lśnkających złotawo, jak ślepa głodnych wilków. Nie mówiliśmy do siebie, aby gardel nie przeziębic i strun głosowych nie nadwierać. Głos nam był jeszcze potrzebny na wiele długich zimowych wieczorów. Zaczynaliśmy wszak dopiero swój coroczny obchód i chodziliśmy planowo, zgodnie z

instrukcją, którą najstarszy opracował szczegółowo późną jesienią, czyli jeszcze wtedy, kiedy nawet najpobożniejszym ludziom nie sniły się zimowe święta. Ale najstarszy był rozsądny i wiedział, że wszystko trzeba dokładnie przemyśleć. Plan zrobił piękny, elegancki, czerwoną kredką wymalował go starannie w kratkowanym zeszycie, zaś na okładce tytuł ślicznie wykaligrafował wielkimi literami, ozdobił, z wywijkami, że aż przyjemnie było spojrzeć i przeczytać: KOLEJKA ANNO DOMINI 1947. Bardzo nam się to podobało, a zwłaszcza „Anno Domini”, chociaż nikt nie wiedział, co to znaczy. Pytaliśmy najstarszego, lecz on także musiał mieć wątpliwości, ponieważ konkretnie nic nam nie wyjaśnił.

— Tak ma być — mruknął — i koniec, nie zwracajcie mi głowy...

Pięgowata Anka udawała mądrą.
— Ja wiem — mówiła — to jest tajemnicze zaklęcie, to przyniesie nam szczęście, zobaczcie...

Anka chciała z nami chodzić, lecz nie powierzono jej żadnej roli ze względu na piegi. Mogłaby popsuć interes swoją nakrapianą gębą i najstarszy ją przegnał. Ale ona była uparta, szła zawsze za nami w przyzwyczajonej odległości, nie podchodząc bliżej, bo wiedziała, że oberwie. Najpierw odganiał ją od siebie, później jednak, gdy zdążyliśmy się do tego przyzwyczaić, że ona ciągle idzie za nami, nie zwracaliśmy już na nią uwagi, tak jak nie zwraca się uwagi na cień, który nie odstepuje człowieka przez całe życie.

Dzisiaj szło nam marnie. Wyszliśmy wcześniej, o zmierzchu, lecz jakoś się nie wiodło. W kilku domach bramy były pozamykane. Spiewaliśmy, walać pięścią w drzwi, ale nikt nas nie wpuszczał. Stróż tylko wychylił czasami rozkudłany łeb i krzyknął: — Wynocha, żebym was tu więcej nie widział...

Pyzaty chłopak zacisnął mocno wargi.

— Podła dzielnica — powiedział.

— Wielkomijska — rzekłem.

— Bogacze tu mieszkają. Patrzcie, jakie mają choinki!

Podniosłem głowę. W oknach migotały kolorowe światełka, a przez szyby dobiegała do naszych uszu świąteczna pieśń w chóralnym wykonaniu. Słychać też było orkiestrę; ktoś grał na fortepianie, ktoś inny na skrzypcach i grubym głosem, jak trzmiel, buczały basy. Zastęchaliśmy się, opuściliśmy nisko głowy ze wstydu, no bo gdzie nam, chłopakom z podmiejskich domków, do takiego śpiewu, który z nas potrafi tak pięknie... Myśleliśmy chyba wszyscy to samo, gdyż żaden się nie odzywał i nawet najstarszy milczał, choć nigdy nie pozwalał nam próżnować i zawsze komenderował: — Spiewać!

Teraz milczał. Zastęchaliśmy się podobnie jak wszyscy, pod nogi uporczywie patrzył, szpicem buta zmarzła gruda śniegu kopie zapamiętała i nic nie mówi, nie krzyczy, nie rozkazuje, zapomniał o bożym świecie, uszu nadstawia i chłonie w siebie tę pieśń z okien płynącą, pieśń czułą, matczyną kołysankę: — Lulajże, lulaj... „O swojej zapewne musi myśleć, tak samo jak ja i Pyzaty, jak ten, co przedstawia śmierć, i ten, co jest za Heroda. Jej ręce sobie wyobraża i włosy pachnące. Czuje ciepłą dłoń gładzącą go po głowie i słyszy szept serdeczny: — Lulajże, lulaj...”, choć nigdy tego naprawdę nie słyszał, bo za mały był wtedy, żeby cokolwiek zrozumieć z jej słów, potem dopiero pojał, niedawno, przyzwyczaił się, wcale nie płacze, na początku szukał i ludził się, czekał niecierpliwie, na dworzec codziennie wychodził, gdy przyjeżdżały transporty, patrzył na kobiety wysiadające z wagonów, wychudłe, szare, z włosami przeciętymi przy samej skórze, „może moja tam będzie — myślał — moja mama kochana. która w ostatniej kartce sprzed kilkunastu miesięcy napisała, żeby był grzeczny i słuchał babci”, ale Czerwony Krzyż zawiadomił i najstarszy już wie: Birkenau, właśnie tam przynajmniej adres podali — mówi — to dobrze, gorzej kiedyż czołwiek ciągle czeka, bezustannie, dzień i noc, przez długie tygodnie i jeszcze dłuższe miesiące, z których składała się lata, zawsze czeka, o każdej porze — i nic, żadnej wiadomości, wieczne oczekiwanie to męka, lepiej

znać prawdę, „Bir-ke-nau”, powtarza wyraźnie, obce słowo z trudem przechodzi mu przez gardło, sucho brzmi i twardo.

Teraz najstarszy zapadł w sen; stoi przed oknem jasno oświetlonym, z cieniem choinki na szybie i patrzy na kolorowe bombki i lampki elektryczne, obserwuje zieloną jodełkę, zapominając mimo woli o wszystkim co złe, tak mu dobrze, tutaj, tak mu przyjemnie w ten śpiew anielski się wsłuchiwać i te słowa zza okien płynące brać tylko do siebie, jakby doń były skierowane, te słowa matczyne, pieśń: Lulajże, lulaj...

I zadrżał nagle, potrzaskał głową przebudzony niespodzianie ze swego pięknego snu na jawie, spojrzął z niedowierzaniem na Pyzatego, bo jeszcze mu się wydawało, jeszcze sądził, że się przesłyszał, lecz pyzaty chłopiec powtórzył głośniej: — Skurwele — rzekł dobit-

stwo, lecz on tego nie uczynił.
— Nie pyskować — rzekł — nie mówić za dużo na wietrze, bo to na struny głosowe szkodzi. Nikomu nie wolno zachrypnąć, nikt z nas nie może stracić głosu, rozumiano?

— Tak, szefie.
Najstarszy wyciągnął z kieszeni plan. W świetle ulicznej lampy mignął napis tytułowy, a potem zaszeleściły kartki. Najstarszy zmarszczył czoło, zamysłił się, coś go zmartwiło. Chwila ponurej ciszy ciągnęła się w nieskończoność. Któryś nie wytrzymał:

— Co się stało — zagadnął.

— O co chodzi, szefie?

— Złe.

— Brzuch — spytał domyślnie Pyzaty, który zawsze był głodny. — Może brzuch cię boli, szefie, obzarłeś się suszonymi śliwkami.

Najstarszy pokręcił przecząco głową.



Rys. J. SIENKIEWICZ

nie, bluznął ordynarnym przekleństwem, rozbił nastrój podniosły: świąteczny, i zanim najstarszy zdążył zacisnąć pięść — usłyszał „...mac”, tylko to, kośćcówkę, więcej nie chciał już słyszeć, to mu wystarczyło, podbiegł do Pyzatego.

— Chamie!

— Odczep się...
Najstarszy upadł. Zarył twarzą w lód. Dotknął ręką skaleczonego czoła. Wypłuł trochę krwi.

„Skąd w Pyzatom taka siła? — zdziwili się kumple, kołędnicy. — On, taki grubas i słabeusz z brzuchem jak beben po tych kartoflach w łupinach, co go rozdeły, trzasnął najstarszego i najstarszy leży...”. A Pyzaty schylił się błyskawicznie, pazury wbił w skorupę śniegu, szarpnął, kawał lodu błysnął mu w palcach i poszybował w powietrze. Brzęknęła szyba. Uci-chła pieśń. Zgasły kolorowe lampki. Pociemniało.

Tupot nóg biegł za nami pusta o tej porze uliczka, tupot wielu ciężkich i skorych do kopania prosto w żoladek, dobrze obutych nóg. Gonia. Serce podchodzi do gardła. Mroźne powietrze rozszarpała płuca. Czuję na szyi gorący oddech, ciężkie sapanie Pyzatego.

— Czegoś to zrobił?

— Nie mogłem inaczej...

— Nie mogłeś...

— Nie — charczy Pyzaty. Musiałem... Oni tam śpiewają, cieszą się, choinka, ciepło, tłuste żarcie, a my...

Najstarszy milczy. Któryś patrzy na niego spode łba i mówi:

— Dobrze zrobił, gruby. On wcale nie taki głupi...

To ich ośmieliło:

— Jasne, że tak. Słusznie. Rozbił szabrownikom szybę, zniszczył faszystowski patefon, zgasił złodziejską choinkę.

Najstarszy milczy. Rozzuchwalili się więc jeszcze bardziej, mówią coraz głośniej, krzyczą, przeklinają takie zżwie i te wojnę cholerną, a najbardziej szabrowników, którzy na zachód jeżdżą i przywożą stamtąd najrozmaitsze rzeczy, handlują, bogacą się, brzuchy im rosna, w futrach chodzą, na zimno nie narzekają i sytość czują, my natomiast...

— Spokój! — powiedział najstarszy.

Wszyscy myśleli, że stuknie kogoś w zęby za żbędne gadu-

dawało mi się, że jeśli będę miał rower, to ucieknę od wspomnień. Wierzyłem w to święcie. Dlatego słowa najstarszego przejęły mnie wielkim smutkiem; nastraszyłem się, że nigdzie stąd nie wyjadę, zostaną tu, będą krały po uliczkach, z którymi wiąże się jakiś obraz zapamiętany z niedalekiej przeszłości, i — chcąc nie chcąc — zادهpeć miejsca zakrwawione, a wolałbym raczej o nich zapomnieć. „Triumph” jednak kosztował drogo: kupę forsy i butelkę bimbru na dodatek. Wciąż mi brakowało, wciąż nie mogłem uskladać...

— Na co czekasz, chodź!
Ocknąłem się. Pyzaty szarpał mnie za rękę.

— Idziemy? — zapytałem.

— Tak — mruknął. — Sześć zmienił plan.

Popatrzyłem na najstarszego.

— W którą stronę?

— Tam...

Pobiegłem wzrokiem za jego spojrzaniem. Dalekie światełka migotały złotawo niczym ślepa wygłodniałych wilków.

— Kolejarskie domki — powiedziałem głośno sam do siebie — to dobrze, to już nie jest wielkomijska dzielnica, lecz inna i ludzie są tam inni, domki mają ubogie, kryte papą, walące się, ale gościnne.

Przyspieszyliśmy kroku, bo od śnieżnych pól zawiato lodowatym wiatrem. Wszyscy szli szybko, tylko śmierć nie nadążała za nami, zostając ciągle w tyle.

— Prędeż, kostucho! — krzyknął któryś niecierpliwie. — Co jest z tobą, czego się guzdrzesz.

Śmierć głośno czknęła. Najstarszy stanął jak wryty.

— Schlała się — rzekł ze zdziwieniem. Zmarszczył czoło, nasrożył się i wrzasnął: — Kto ją spił, do cholery, przecież mówiłem, że nie wolno!

Milczeliśmy, bo było zimno i nikomu nie chciało się gadać. Ale najstarszy nalegał. Wbił w głęboką zaspę gwiazdę, którą niósł, i chwycił śmierć za białe poly.

— Pysk ci rozwałę za brak dyscypliny — powiedział. — Świąteczny interes psujesz, alkoholicko nalogowa! — Chciał bić, lecz Pyzaty go powstrzymał.

— Spokojnie — rzekł — i nie tak ostro, szefie. To nie jej winna...

— A czyja?

— Ludzi. Bimbru jej wlał do barszczy z uszkami. Schlała się całkiem niechcąc.

Wzięliśmy śmierć pod rękę i pociągnęliśmy ją za sobą w stronę migoczących światełek. Chwiała się na badylich nogach i śpiewała głośno sprężone pioseki. Wstyd nam przynosiła, wielki wstyd dla nas, kołędników, najlepszych w całej parafii.

— Może wytrzeźwieje, zanim dojdziemy do kolejarskich domków — powiedział z nadzieją w głosie najstarszy. Wyrwał z zaspły gwiazdę na długim pątku i poszliśmy. Gwiazda była wielka oraz misternie wykleiła: z jednej strony wykuliśmy ją sreberkiem po cukierkach, z drugiej zaś czerwoną bibulą. Wewnątrz płonęła świeca, rzucając nam pod nogi krwawy blask. To mi ciągle coś przypominało, kojarzyło mi się z obrazami z niedalekiej przeszłości i zatrzymywałem się niepewnie.

— Te... — mówili ci, co szli za mną. — Nie śpij na stojąco!

Popychali mnie do przodu. Szedłem posłusznie, przeskakując płamy na śniegu, czerwona- we światło naszej gwiazdy z papieru, której odbłask przypominał mi krew. Wydawało mi się, że nie wolno deptać tych miejsc, świeżych jeszcze, nie zaschniętych. Nie chciałem zabrudzić butami miejsc zakrwawionych. Wolałbym o nich zapomnieć lub wymazać je zupełnie z pamięci, jakby ich wcale nigdy nie było. Może kiedyś przestanę mi się śnić po nocach — myślałem — ale na pewno dopiero wtedy, gdy stąd wyjadę, choćby na rowerze marki „Triumph”. Byłem wówczas bardzo głupi. Wiedziałem, że grudnia wieczór zaczyna się wcześniej i trwa długo, lecz nie przypuszczałem, że mogą się zdarzyć także noce bezsenne, kiedy patrząc przez okno widzi się biały śnieg, a na tym śniegu wszystko odbija się wyraźnie jak w lustrze, nawet dalekie i mgliste cienie.

POLONICA KULTURALNE

Jerzy Semkow dyrygował w „La Scall”

Jeden z najwybitniejszych naszych mistrzów batuty, Jerzy Semkow, przygotował i poprowadził premierowe przedstawienie opery Musorgskiego „Borys Godunow” w mediolańskiej „La Scall”. W partii tytułowej wystąpił światowej sławy bas Borys Christoff. Jerzy Semkow jest pierwszym polskim dyrygentem, który poprowadził spektakl w tej słynnej operze.

Prace polskiego fotografika na międzynarodowych wystawach

Jeden z czołowych naszych artystów — fotografik Edward Hartwig zaproszony został ostatnio do udziału w kilku międzynarodowych wystawach. Organizatorzy Międzynarodowego Salonu Fotografii Artystycznej w Bordeaux nadali naszemu artyście tytuł „Członek honorowego” tej imprezy, przyznali medal „Bordeaux la Noble Ville” oraz zaprosili na otwarcie salonu.

Edward Hartwig bierze ponadto udział w otwartej w Budapeszcie wystawie „Sztuka fotograficzna 5 kontynentów” oraz w zorganizowanej w Pradze ekspozycji pn. „10 czołowych fotografików świata”. Artysta ten będzie ponadto reprezentował Polskę na przygotowanej w Wielkiej Brytanii światowej wystawie fotografii pn. „50 autorów, 50 krajów”.

„Liryka wybrana” Tuwima po rosyjsku

Wydawnictwo „Chudożestwienaja Litteratura” opublikowało zbiór ok. 40 wierszy Juliana Tuwima pt. „Liryka wybrana”. Autorem wyboru jest D. Samołow. Utwory, które weszły do zbioru tłumaczyli m. in. Asiejew, Achmatowa, Swietlow, Simonow, Sielwiński, Stucki, Surkow.

Polskie filmy w Grenoble

Nasza kinematografia zgłosiła kilka filmów na II Międzynarodowy Tydzień Filmu Sportowego

w Grenoble, organizowany w związku z olimpiadą zimową. Będą to: „Bokser” Juliana Dzedziny, „Z górki na pazurki” Krzysztofa Dębowskiego, „Pojedynki” Janusza Majewskiego, „Skocznia” Jarosława Brzozowskiego i „Finn” Sergiusza Sprudina.

Udział Polski w międzynarodowej wystawie plakatów w Oslo

W stolicy Norwegii otwarto wystawę plakatów dziesięciu krajów: Anglii, Belgii, Francji, Holandii, Japonii, Norwegii, Polski, Szwajcarii, Stanów Zjednoczonych i Włoch. Komisarz wystawy, grafik Hans N. Dahl oświadczył, że ekspozycja ta ma na celu zaprezentowanie plakatów o wysokich walorach artystycznych.

Mówiąc o Polsce Dahl wyraził się, że stała się ona jednym z przodujących krajów w tej dziedzinie sztuki. Plakat polski nie ma na sobie piętna komercyjnego. Artysta nie jest tu niczym skrepowany. Tekst bywa często lakoniczny. Np. plakat teatralny może zawierać tylko tytuł sztuki. Dobry plakat budzi zainteresowanie i niekoniecznie musi mówić o wszystkim.

„Kulturny Żivot” o polskiej literaturze filmowej

Wychodzące w Bratysławie czasopismo „Kulturny Żivot” omawia w artykule pt. „Polski przykład” książki autorów polskich poświęcone filmowi. „Podczas gdy od lat już — pisze Peter Michalik — ograniczamy się do przekładów zagranicznej literatury filmowej, naszym północnym sąsiadom udało się wydać kilka pozycji godnych uwagi”. Wśród tych dzieł autor artykułu wspomina „Film się zmienia” Bolesława Michalka oraz „Dzień dzisiejszy filmu francuskiego” Konrada Eberhardta.

Barbara Hesse-Bukowska w Turcji

Wielki sukces odniosła nasza wybitna pianistka Barbara Hesse-

Bukowska w Turcji. Artystka dała recitale chopinowskie oraz wzięła udział w koncertach symfonicznych w Stambule, Izmirze i Ankarze, wszędzie spotykając się z entuzjastycznym przyjęciem.

Polskie sztuki w teatrze londyńskim

Londyński Teatr Narodowy wystąpi wkrótce z polskimi sztukami współczesnymi. Od 22 lutego 1968 roku w programie jednego wieczoru grane tu będą sztuki Bohdana Drozdowskiego „Kondukt” i „Klatka” w przekładzie Johna Richardsa. Na początek przyszłego roku przewidziana jest również premiera „Kartoteki” Tadeusza Różewicza w przekładzie Adama Czerniawskiego.

Słoweńskie przekłady polskich książek

Powieść dla młodzieży „Uwaga! Czarna parasol” Adama Bahdaja ukazała się w przekładzie na język słoweński. Książkę tłumaczyła Zdenka Jermanova.

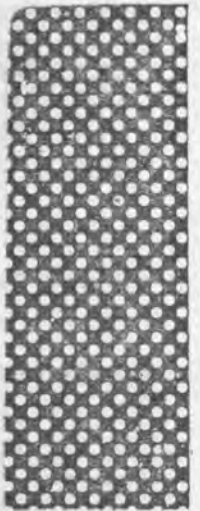
Również w słoweńskim przekładzie Frane Jermana wyszedł tom esejów polskich filozofów i socjologów pt. „Filozofia i socjologia 20 wieku”.

Polskie filmy w Ameryce Południowej

Organizatorzy I Międzynarodowego Festiwalu Nowego Kina w Sao Paulo, urządzanego w ramach IX Biennale, postanowili umieścić w programie imprezy film Jerzego Skolimowskiego „Waikower”.

Kilka naszych filmów obejrzał też ostatnio mieszkańcy Caracas w związku z zorganizowanym w tym mieście Tygodniem Filmów Polskich. Do Wenezueli wystaliśmy: „Zerwany most” Jerzego Passendorfera, „Eroika” i „Człowieka na torze” Andrzeja Munka, „Prawdziwy koniec wielkiej wojny” Jerzego Kawalerowicza, „Kapelusz pana Anatola” Jana Rybkowskiego i „Jak być kochaną” Wojciecha Hasy.

(Kl-PAP)



Dwa dni przed Nowym Rokiem Telewizja Kraków wystąpiła z podsumowaniem swojej działalności, przygotowując na tę okazję półgodzinny program. Program został nadany, ale programu nie oglądaliśmy; były to więc któreś tam z rzędu czary małego ekranu i nowoczesnej techniki. Kilkadziesiąt tysięcy odbiorców oglądało naturalistyczną czołówkę, usłyszało, że spotykają się po raz 407 z krakowską TV, jeszcze raz uświadomiło sobie, że przynależą do półmilionowej rzeszy odbiorców niezbyt precyzyjnie zwanym odbiorcami programu Polski Południowej. I to było w zasadzie wszystko, co zostało nam dane. W przerwach bowiem milczenia i syków odbiornika doszły nas strzępy wieści o pięćdziesiątym jubileuszu prof. Zina, o sześciu bodaj spektaklach teatralnych nadanych z Krakowa, coś jęknęło później o Klubie pod Smokiem i zaproszeniach na wtorek wieczór, gdzieś tam ze środka programu dotarł do nas fragment wywiadu z przedstawicielem Domu Kultury pod Baranami i... reszta okazała się być trwałym milczeniem, które rozrywały tylko nasze soczyste klątwy pod adresem nie wiadomo kogo. Kilkanaście osób z krakowskiej TV napracowało się solidnie tylko po to, by nam odebrać chęć przynależenia do rzeszy odbiorców programu Polski Południowej! Jeśli zaś uświadomić sobie ubiegłoroczną historię podsumowania roku 1966, kiedy to Warszawa wtargnęła brutalnie in medias res cracoviensis Jackiem i Agatką, stwierdzam zwyczajnie i po prostu: nie macie szczęścia panowie z Nowym Rokiem. Przeto radzę poufnie:

sterroryzujcie kogo trzeba — a rzecz powtórzcie, bośmy jej cie-kawi, bo się nam należy w zamian za 30 minut szarpania nerwów i telewizora.

A tak w ogóle, to zakończenie starego roku okazało się też niezbyt fortunne. Co prawda nie są to tylko i wyłącznie moje opinie, bo Sylwester oderwał mnie od małego ekranu już po przemówieniu przewodniczącego Rady Państwa, ale od czegoś znamy i przynajmniej Opadli mnie z własnymi sądami w parę godzin po zakończeniu programu anno 1967 i nader drugocząco acz krótko rzecz ocenili: nuda. Duża nuda. Strasznie duża nuda. Wiele śpiewadeł, starożytno filmisko jedno i drugie, szopka ino z nazwy satyryczna, przemęczenie pracą i Sylwestrem spikerzy, ledwo trzymający się na nogach. Co i wysłuchawszy, do wierzenia podaję, pewna, że głosy to tym cenniejsze, bo tak liczne...

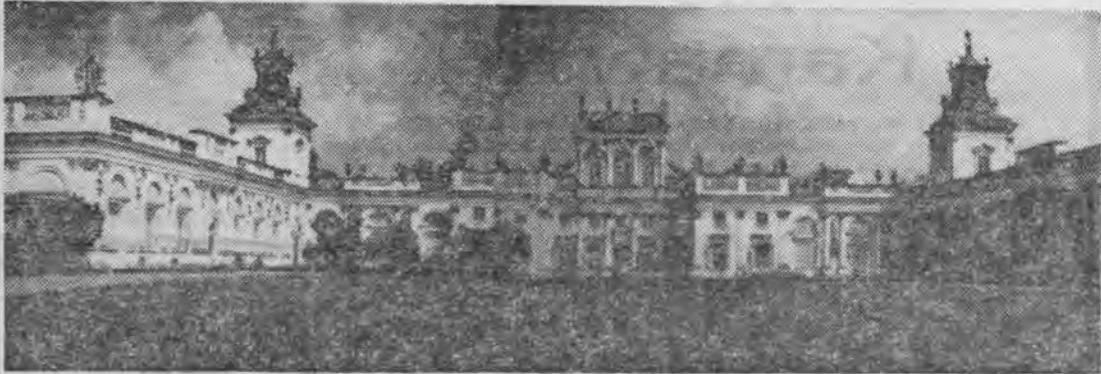
Zaś od siebie dodam, że nie podobały mi się bardzo dwa rozrywkowe programy minionego tygodnia: i ten Toeplitza, gdzie Mussolini na zmianę z gotymi kuprami stanowili oprawę dla oklepanych śpiewadeł dwudziestolecia, gdzie ambicje KTT jeszcze raz dały milionom Polaków nieświeży bigos made in kuchnia polska bez kategorii, a gdzie ja po prostu dostrzegłam ciągoty za dwuznacznymi smaczkami tegoż dwudziestolecia — i ten, w którym Stefania Grodzieńska niby litanię wyśpiewuje nazwiska twórców telewizyjnych, z nadzieją, że zastąpią nam one dowcip i satyrę, ubożuchniejszą w „Teledziennikach” nawet od tej szpilkowej — co dalszego komentarza chyba nie wymaga. Wymaga za to protestu przeciw tanim eksperymentom, którym przez rok się przyglądamy bardzo smutni i zniechęceni do samego pojęcia.

Natomiast bardzo mi się podobały dwa spektakle: Zbigniewa Safiana „Kartka z archiwum” oraz Flersa i Caillaveta „Król”. A podobały dlatego, że były zręcznie skonstruowane, co w przypadku dwójki francuskiej wcale nie dziwi, w przypadku Safiana wymaga podkreślenia i jeszcze dlatego, że były grane koncertowo — zatem wspaniale przez plejadę aktorów z nazwiskami.

I byłoby wszystko znakomicie, gdyby nie fakt, że coraz częściej podziwiamy w teatrze TV znakomitych aktorów i zręczne sztuki, że coraz łatwiej nam je oglądać, że zaczynamy się teatrem bawić, że teatr staje się powoli li tylko rozrywką. Że nie jest to jednak naczelną jego funkcją — rzecz wymagałaby przypomnienia, ale nie w dwóch zdaniach, jakie mi jeszcze pozostały, przeto powrócę w najbliższym czasie i z nowym rokiem do tego tematu na pewno.

Teraz zaś jeszcze raz pełna podziwu dla Johna Hustona i jego umiejętności reżyserskich przypomnę Wam godzinę z mitem epoki, czyli Marilyn Monroe, 10 minut znakomitej zabawy w podpatrywanie metod pracy redaktorskiej stolarza z Istebnej i wstępną z ulgą, że nauki małżeńskie pani Caudle się skończyły, nie rozumiejąc w dalszym ciągu jak dwójkę znakomitym aktorom chciało się ciągnąć za uszy tak bardzo niedobry tekst pana D. Jerrolda...

KRYSTYNA



WILANÓW

Fot. CAF

WIDNOKRĄG ODPOWIADA

W. Z. Rzeszów: Prosi Pan o szczerść, więc jesteśmy szczerzy. Opowiadanie „Samotność” jest bardzo niedobre i nie kwalifikuje się do druku. Jego liryczność jest istotnie pełna iżowego sentymentalizmu. Za dużo w nim banalnej poetyczności i taniej jedności. Proza musi być bardziej wstrząsająca, bardziej rzeczowa i opanowana, nawet wtedy, gdy odzwierca, jak Pan mówi, głębię psychiki autora.

„Rodryg”: Może warto pisać dalej, mimo że nadesłane próby poetyckie są jeszcze niedojrzałe i dość naiwne. Wiele do życzenia pozostawia forma. Niewymyślne rymy, za dużo czasowników (powodują one, iż mimo miniaturowych rozmiarów teksty są przegadane).

„Zetka”: Felieton „O tych niewielu” mimo iż zawiera słuszne i społecznie ważne spostrzeżenia, nie nadaje się do druku. Jest zbyt słaby formalnie — wiele zastrzeżeń budzi styl i słownictwo. „Krymek” — Rozwadow. W Pańskich utworach czytamy, że „Słychać szum drzew... //Wtem wstaje świt//opromieniony blaskiem dnia//by rozpocząć dzienny śpiew //zapachnieć żywica itd... To prawda, ale po co o tym pisać. To są prawdy tak oczywiste, iż nie warto poświęcać im wierszy.

F. P. Dubiecko: Niestety, „Kolejka” ma charakter ludowego wiersza satyrycznego, a my takich nie publikujemy. Zgadamy się jednak z tym, iż zawiera sporo gorzkiej prawdy.

ADOLF RUDNICKI: Blic. Drobiazgi żołnierskie. Żołnierze. Po latach. Iskry s. 336, cena 20 zł.

Kolejne wydania żołnierskich opowiadań autora „Niekochanej”. Służba wojskowa bardzo głęboko utkwiła w pamięci autora, bo do tego tematu wraca bardzo często. Dobra proza.

ADOLF RUDNICKI: Wspólne zdjęcie. PIW s. 232, cena 15 zł.

Trudno nieraz określić jednoznacznie gatunek literacki. Pisze się wtedy, że są to eseje. A więc prezentuję zbiór esejów znanego prozaka średniego pokolenia. Temat główny to teatr, film, książka, obserwacja życia. Proza j. w.

WACŁAW KORABIEWICZ: Do Timbaktu. Iskry, s. 324, cena 23 zł. Seria „Naokoło świata”. Nie wymaga reklamy. Starczy jak powiem, że autor pracował jako lekarz w małym miasteczku w głębi Ghany, dotarł do Timbaktu. Ciekawe obserwacje, tajemnicze zagadkowe miasta, obyczaje, ilustracje.

JALU KUREK: Grypa szaleje w Naprawie. Wyd. IX. Wyd. Literackie s. 260, cena 13 zł.

Reedycja znanej w okresie międzywojennym powieści również znanego krakowskiego pisarza. Akcja rozgrywa się w małym miasteczku na Podhalu. Tematy społeczno-obyczajowe. Tak, dla nas obecnie już obyczajowe.

TADEUSZ STĘPOWSKI: Od Sasa i od lasa. Wyd. Morskie, s. 300, cena 15 zł.

60-letni autor związany jest tematyką z Warmią i Mazurami. Opowiadania zawarte w tomie osnute są wokół powstania styczniowego, plebiscytu na Warmii i Mazurach, wierzenia i zwyczajów mazurskiego ludu. Czas dawny i najbliższe powojenne lata.

PAOLO VOLPONI: Pamiętnik Albina. Przeł. W. Gall. PIW s. 286, cena 18 zł.

Autor reprezentuje we współczesnej literaturze włoskiej zainteresowanie tzw. cudem gospodarczym Włoch i jego konsekwencjami społecznymi. Pisana w formie pamiętnika robotnika-intelektualisty powieść zajmuje się problemem alienacji



człowieka w środowisku przemysłowym.

II OPOWIADAŃ WĘGIEŃSKICH; Iskry 1967, s. 318 zł. 16.

Tom jest prezentacją nowelistycznej twórczości młodych pisarzy węgierskich. Zamieszczone tu opowiadania odznaczają się szerokim wachlarzem problemów i spraw. Wszystkie jednak łączą rzetelność i szczerze zainteresowanie człowiekiem. Duża rozpiętość stylów i konwencji literackich.

MARIA DERNAŁOWICZ: Antoni Malczewski. PIW s. 227, cena zł 30.

Kolejny tom z serii: „Ludzie żywi”. Życie i twórczość autora „Marii” znalazły tu najpełniejsze z dotychczasowych literackich odzworzeń. Ciekawy materiał ilustracyjny. Wykaz wykorzystanych źródeł.

HENRYK MARKIEWICZ: Przekroje i zbliżenia. PIW s. 394, cena zł 30.

W tomie został zebrany materiał drukowany uprzednio w czasopiśmie i wydawnictwach zbiorowych. Dotyczy on różnych zagadnień literackich związanych z okresem pozytywizmu, Młodej Polski i lat następnych. Uwzględnione tu zostały wybrane zagadnienia i postacie literackie.

ALINA KOWALCZYKOWA: Liryki Stonimskiego. PIW s. 241, cena zł 25.

Książka przynosi analizę lirycznych wierszy Stonimskiego pisanych w la-

tach 1918—1935. Chronologicznie zinterpretowane zostały utwory poety — od sonetów po dojrzałą twórczość lat trzydziestych.

WSPÓLNY DRAMAT AMERYKAŃSKI. PIW T. 1—3, s. 600 plus 616 plus 653. Cena całości 140 zł.

Wybór, słowo wstępne i noty biograficzne Adam Tarn. Na skrzydłach książki uwaga: „Pierwszy w Polsce wybór współczesnego dramatu amerykańskiego prezentuje 15 najwybitniejszych dramatów; od twórcy nowoczesnego dramatu Eugene O'Neill do Edwarda Albee'ego, reprezentanta najnowszego nurtu w teatrze amerykańskim”.

MARIAN WOLIN: Agresja amerykańska w Wietnamie. MON s. 352, cena 18 zł.

Pozycja ta omawia problemy wojskowe i polityczne brudnej wojny. O agresji Stanów Zjednoczonych w Wietnamie, jej przebiegu. O planach i zamierzeniach interwencji. O bohaterstwie postawie sił zbrojnych Narodowego Frontu Wyzwolenia Wietnamu Południowego.

JÓZEF BUSZKO: Narodziny ruchu socjalistycznego na ziemiach polskich. Wyd. Literackie, s. 272, cena 25 zł.

Autorem tej popularnonaukowej pracy jest historyk krakowski. Praca obejmuje chronologicznie okres od połowy XIX do przełomu lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ub. stulecia. Pokazuje postacie twórców tego ruchu.

HALINA DUDOWA: Godni Polscy. Kiw, s. 319, cena 25 zł.

Znana dziennikarka podjęła temat nieprosty. Porusza bowiem i omawia wiele zagadnień związanych z Batalionami Chłopskimi. W aspekcie historycznym i ideologicznym. Wiele ciekawych i mało znanych materiałów. Staranna szata graficzna.

ANTONI CZUBIŃSKI: Rewolucja 1918—1919 w Niemczech. Wyd. Poznańskie, s. 192, cena 30 zł.

NA NASZYM EKRANIE

Pierwszy film Jacquesa Demy

Kiedy dyplomowany dekorator bierze się do robienia filmu, nie powstaje pełne rozmachu gigantyczne widowisko, ale... liryczny melodramat muzyczny. Tak było właśnie w przypadku Jacquesa Demy, który zrealizował „Parasolki z Cherbourga”, jeden z najbardziej oryginalnych filmów ostatnich lat. Sukces tego filmu w Cannes sprawił, że Demy stał się jednym z popularniejszych twórców francuskich. Z jego następnym filmem „Panny z Rochefort” wiązano duże nadzieje.

„Parasolki” oglądaliśmy dwa lata temu, a dopiero w tym miesiącu możemy zobaczyć pierwszy film fabularny Demy — „Lola”, zrealizowany w roku 1960. Ma ten debiutancki utwór wiele grzechów, przy czym niektóre powstały już w pierwszej fazie realizacji, w scenariuszu napisanym przez samego reżysera. Natłoczył tu Demy postaci i sytuacji najróżnorodniejszych, porobił akcję na mnóstwo wątków, nadrobił scen i scenek, których sporo można by bez szkody dla całości usunąć. Nie uniknął również pewnych, oklepanych chwytów, jak np. ten z białym „krążownikiem szos” pojawiającym się tajemniczo na początku filmu. Samochód ten spełnia w „Loli” rolę podobną do tej, jaką w znanej teatralnej opowieści przypisano anegdotycznej strzelbie: jeśli w pierwszym akcie broń ta wisi na ścianie, to ani chybi, w trzecim będzie się z niej strzelać. Białe samochody w filmie strzelają także happyendową pointą, ale doświadczony widz domyśli się jej na długo przedtem.

Nie aprobując Demy jako scenarzysty, autora dość banalnej historyjki (o młodej dziewczynie, tańcem w marynarskiej knajpie zarabiającej na utrzymanie swego dziecka, z wiarą i utęsknieniem oczekującej na powrót ojca tego dziecka, który wyjechał w daleki świat zbijać forszę na stworzenie rodzinie podstaw egzystencji), chciałbym zwrócić uwagę czytelników na jego talent reżyserki. Potrafił bowiem Demy stworzyć w tym filmie pewien poetycki klimat, atmosferę, która mimo całego melodramatyzmu jest piękna i urzekająca. Reżyser — z bardzo nielicznymi wyjątkami — nie przekracza także granicy cikliwości, a jeśli to robi, to w dopuszczalnych rozmiarach.

Demy wyrósł na tradycjach francuskiego filmu, i w swoim ekranowym debiucie czerpie z tych tradycji pełnymi garściami. Stąd znajdziemy w „Loli” dalekie echa „Ludzi z mgłą” Marcela Carne, atmosferę niektórych filmów Rene Claira, bohaterów, którzy są nam dobrze znani i bliscy. Bo przecież raz po raz wylewany z pracy młody urzędnik to typowy przedstawiciel współczesnej młodzieży z filmów francuskiej nowej fali. Bo samą Lolę grają tu przez Anouk Aimee widziliśmy niejednokrotnie w podobnych wcieleniach kreowanych przez Françoise Arnoul, Danielle Delorme i inne aktorki. Bo przecież znani i bliscy są pozostali bohaterowie tego filmu — właścicielka bistro, młody marynarz, ludzie francuskiego miasteczka — tacy sami, jak w filmach Claira, Le Chanois, Allegreta.

Być może zatem odnajdziemy w Demy kontynuatora kierunków twórczych starej gwardii francuskich twórców filmowych?

Łatwiej odpowiedzieć na to pytanie twierdząco po obejrzeniu „Parasolek z Cherbourga”. „Lola” nakazuje raczej ostrożność w tego rodzaju określeniach, widąc bowiem w niej pewne niebezpieczeństwa, z którymi młody reżyser nie bardzo sobie jeszcze radzi: trochę za wiele tu stereotypów i nazbyt łatwych chwytów mających zafascynować niewybrednego widza. Jeżeli w przyszłości Demy potrafi się od tego uwolnić, będziemy mogli powiedzieć, że autor „Pod dachami Paryża” i „Porte de Lilas” znalazł godnego następcę.

Inna rzecz, że Demy bardzo skarżył się na producentów. „Lola” miała być barwna i pomyślana inaczej. W pierwotnych założeniach np. tańczone partie filmu, (a te, które pozostały, są przecież kapitalne), miały być znacznie rozszerzone. W ogóle balet miał odgrywać dużą rolę w filmie, np. cały wątek dziewczynki i marynarza miał być przetańczony. Inne także, nie tak cukierkowe miało być zakończenie filmu. — Niestety, naciski producentów zmusiły reżysera do rezygnacji z wielu zamierzeń. Ponoć mając na myśli swoich mocodawców, dał Demy filmowi motto: „Niech się śmieje kto może, a płacze kto chce”.

Nie takie motto przyświecało prekursorom tego co w „Loli” jest najcenniejsze. W swoich filmach pozwalali widzom śmiać się i płakać, a niejednokrotnie był to śmiech przez łzy. Ale towarzyszyło temu wzruszenie, jakie budziły tamte filmy. Chciałoby się bardzo, by znów czyjeś filmy budziły wzruszenie. Zbyt często bowiem nowe utwory ekranowe budzą tylko zaciękanie, prymitywne emocje lub obojętność.

(SZ)

„LOLA”. Reżyseria i scenariusz: Jacques Demy. Lola — Anouk Aimee, Roland — Marc Michel, Frankie — Alan Scott, Michel — Jacques Harden. Ponadto grają: Ellna Labourdette, Margo Lion, Annie Duperoux, Catherina Lutz, Corinne Marchand i inni.



IRENA MALINOWSKA — harcmistrz

Rys. J. Sienkiewicz

Kalman Segal

Mały felieton

Karnawał

Ostro w tym roku zabraliśmy się do karnawału. Kto w ciągu zimy choć raz nie wybierze się na bal, ten jest uważany za człowieka zacofanego. Kto zaś ze względu na astmę lub ze względu na nagniotki, nie tańczy, ten udaje się do teatru lub na koncert — jeśli jeszcze nie jest głuchy jak pień.

Kobiety szyją sobie modne sukienki. Modne, to znaczy króciutkie i okrywające tylko to, co konieczne. Taka moda jest tania i praktyczna: z jednej starej sukienki można uszyć dwie nowe i jeszcze zostanie na spodnie dla wnuka albo na kamizelkę dla męża.

Karnawał zbliża ludzi. Ludzie bawią się, kochają i są dla siebie dobrzy.

W pewną styczniową noc wracałem do domu przez rozświetlone śródmieście i spotkałem jakiegoś pijanego bigamista, który ze łzami w oczach błagał mnie, bym go uwolnił od jednej z dwu żon. Obie były przystojne i wybór był kłopotliwy.

Na szczęście w porę przebudziłem się. Okazało się, że był to jeszcze jeden słodki sen w moim życiu.
Karnawałowy sen...

Janusz Roś

Myśli

Nie wystarczy być człowiekiem inteligentnym. Inteligencja musi być pracująca.

★

Życie to ciągły wybór między spokojem głowy a spokojem sumienia.

★

Zrezygnował z palmy pierwszeństwa. Nie było już na niej kokosów.

★

Iluz to klientów miałby bank PeKaO, gdyby honorował srebrniki.

★

I przy największym oknie na świat niektórzy interesują się tylko swoimi sąsiadami.



ZDARZENIA WYGODNIA

Wojewódzka Komisja Organizacyjna konkursu o najlepszy klub wiejski 1967 r. w województwie rzeszowskim dokonała ostatnio podsumowania wyników oraz podzieliła nagrody, ufundowane przez organizatorów. I tak I miejsce i nagrodę ogólnopolską przyznano Klubowi Rolnika w Godowej, pow. strzyżowski, a II przypada w udziale Klubowi „Ruch” w Strażowie, pow. rzeszowski. Trzy równorzędne III miejsca zajęły: Klub Rolnika w Krzeszowie, pow. Leżajsk, Klub „Ruch” w Lętowni, pow. Przemysł oraz Klub Rolnika z Łużnej, pow. Gorlice. Przyznano również 4 równorzędne IV miejsca, które przyznano Klubowi „Ruch” z Węglówki, pow. Krosno, Bazanówki, pow. Sanok, Smolarzyn, pow. Łańcut oraz Klubowi Rolnika z Orzechówki, pow. Brzozów, Klub Rolnika z Nowosiółek, pow. Lesko, został wyróżniony.

Uroczyste zakończenie konkursu, połączone z wręczeniem dyplomów, nastąpi w styczniu podczas spotkania przedstawicieli klubów, zorganizowanego przez ZW ZMW. Na zakończenie informujemy, że nagrody ufundowały: PUPIK „Ruch”, WZGS, Wydział Kultury Prez. WRN i Zarząd Wojewódzki ZMW.

Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej na jednym z posiedzeń w ostatnich dniach grudnia oceniło działalność muzeów woj. rzeszowskiego. Z tej więc okazji przypomniamy, że w naszym województwie działa 9 muzeów państwowych, w tym 3 podległe bezpośrednio Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej (Muzeum Okręgowe, w Rzeszowie, Muzeum — Zamek w Łańcucie i Muzeum Budownictwa Ludowego w Sanoku) oraz 6 muzeów regionalnych, podległych administracyjnie prezydium PRN. Są to: Muzeum Ziemi Przemyskiej w Przemyślu, Muzeum w Jarosławiu, Muzeum Historyczne w Sanoku, Muzeum w Krośnie, Muzeum im. Marii Konopnickiej w Żarnowcu oraz Muzeum Regionalne w Bieczu. Wymienić jeszcze trzeba Muzeum Zamek w Baranowie, podległe Muzeum Narodowemu w Warszawie. Ponadto na terenie województwa powstają wiejskie izby pamiątek.

Prezydium WRN pozytywnie na ogół oceniło działalność wyżej wymienionych placówek, podkreślając ich rolę w upowszechnianiu kultury. Podczas obrad padło również kilka postulatów, pod adresem kierownictwa tych placówek. Wymienimy tu chociażby bardzo istotną sprawę, jaką jest spracowanie profilu poszczególnych muzeów, a w szczególności regionalnych oraz konieczność nawiązania ścisłego kontaktu z tzw. terenem, jak również innymi województwami.

Kierownictwo Państwowej Filharmonii im. Artura Maławskiego w Rzeszowie konsekwentnie realizuje swe założenia programowe, wychodząc naprzeciw zapotrzebowaniu społecznemu. Wiadomo przecież, że nie wszyscy miłośnicy muzyki chodzą tylko na koncerty symfoniczne. Dlatego też na afiszach pojawiają się programy o charakterze rozrywkowym. Przykładem choćby ostatni z dnia 5 bm., na który złożyły się utwory muzyki popularnorozrywkowej i występ znanego już mieszkańcom naszego województwa kwartetu warszawskiego „Beltono”.

Wojewódzka Komisja Związków Zawodowych przy współudziale WDK, zorganizowała w ostatnich dniach kursu-konferencji instruktorów pracy z dziećmi, poświęconą omówieniu zadań placówek k.o. w pracy wychowawczej z dziećmi i młodzieżą w dopięknych placówkach szkolnych i środowisku zamieszkania. Poruszona podczas zajęć tematyka na pewno zainteresowała uczestników, gdyż omówiono formy pracy z dziećmi i młodzieżą, zadania w zakresie frontu ideologicznego oraz zadania wynikające z uchwały VIII Plenum KC PZPR, VI Kongresu Związków Zawodowych i inne. W tym miejscu pozwolimy sobie jednak na małą uwagę: tego rodzaju zajęcia z instruktorami należało chyba przeprowadzić nieco wcześniej, ze względu na ferie zimowe, które są niewątpliwie okazją do rozwinięcia na szerszą skalę działalności.